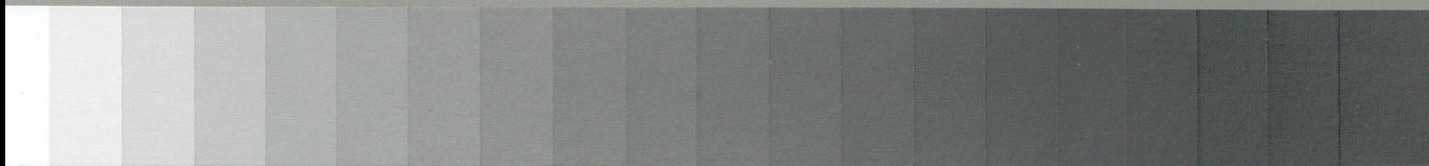


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Inches 1 2 3 4 5 6 7  
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black





Książka niniejsza jest własnością  

---

---

Towarzystwa Czytelní Ludowych.  

---

---



## Szanuj książkę!



Książka mówi do Ciebie :  
Jestem **własnością ogólu**, bo  
ze składek publicznych mnie za-  
kupiono.

Kto mnie niszczy, **krzywdzi  
społeczeństwo.**

Dla tego obchódź się ze mną  
uczciwie, **nie plam mnie, nie  
niszcz, zawiń okładkę moja,  
w czysty papier** i nie przetrzy-  
muj mnie dłużej, jak rzeczywiście  
potrzebujesz.

43485.11

Szanuj własność  
publiczną

# Jak walczyli Polacy pod Napoleonem

---

---

I.

## O sławnym zdobyciu wąwozu SOMO-SIERRA w Hiszpanii

OPOWIEDZIAŁ  
KAZIMIERZ KALINOWSKI.



763

7271

WARSZAWA  
Własność i nakład T. H. Nasierowskiego,  
Krucza 32.

884-3:8(09)



BIBLIOTEKA  
Jednostki Wojskowej Nr 2716  
Nr 4099

9669 | 1



## Do Czytelnika.



*W każdej rodzinie polskiej dalekiem echem przeszłości odzywa się po dziś dzień wspomnienie Napoleonidy, która coraz bardziej przemienia się w jakąś wielką, bajecznie kolorową, pełną dźwięków i zgiełku, legendę niepojętą...*

*W każdym starym domu polskim nie bez przyczyny wisi poźółkły lub spłowiaty portret Bonapartego. Boć któż z nas między pradziadami z przed stu laty nie miał żołnierza Napoleońskiego! Przecie to ojcowie „czwartaków“ z grochowskiej Olszynki włączyli się za cesarzem Francuzów po całym świecie na boje sławne, wiekopomne...*

*Nie tak dawno, nasi ojcowie, ci jeszcze, co pod Langiewiczem wojowali po lasach, słuchali w dzieciństwie przy domowem ognisku, w długie wieczory zimowe, anegdot obywatelskich z ust swoich dziadków, bohaterów z pod Austerlitz, z pod Wagraam, wiarusów, którzy patrzyli na śmierć towarzyszy broni na ziemi włoskiej pod Legnano, Magnano, Mantuą, i w kraju Hiszpanów pod murami Saragossy, w Egipcie i na wyspie San-Domingo, pod Jeną i pod Moskwą, ginących w bitwach pod orłami Napoleona. I mawiali nam rodzice, jaki żal wieczny czuli ci wojacy do Bonapartego za to, że tak zawiódł oddanych mu całą duszą*

Polaków, a jednak do śmierci czcili go i nad życie kochali, widząc w nim półboga.

Nie dziw tedy wcale, że nas tak blisko obchodzi owa powieść cudna a straszna, piękna a okrutna powieść o bojach Napoleońskich, że tak chętnie polski czytelnik sięga po karty, na których znajdzie barwne obrazy tych wojen i bitew nie do wiary. A tem chętniej czytać je gotów, gdy mu opowiedzą o samych pradziadach, tych w amarancie, błękicie, a w ulańskich czakach...

Brak nam właśnie było takich swojskich, a prostych i przystępnych dla wszystkich książek, któreby opowiadały: „Jak walczyli Polacy pod Napoleonem“. Oto niniejsza praca rozpoczyna szereg takich książek opowiadaniem popularnem „o sławnem zdobyciu przez Polaków wąwozu Somo-Sierra w Hiszpanii“. Wybraliśmy zaś właśnie pamiętną szarżę szwoleżerów na Somo-Sierra umyślnie na początek z dwójakich względów: przedewszystkiem dlatego, że świat obchodzi teraz stulecie Somo-Sierry, a powtóre, że niema czynu sławniejszego w dziejach nowożytnych wojen nad Somo-Sierre.

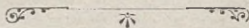
Zdobycie tego „niezdobytego“ wąwozu w górach hiszpańskich przez polską konnicę w armji Napoleona było czynnem tak walecznym i zarazem tak niesłychanym, że zadziwił on świat cały, tem bardziej, ile że sam Napoleon nazwał tę szarżę najśmielszym i najświetniejszym czynem wojennym, jaki kiedykolwiek w dziejach wykonała konnica.

Znakomity znawca, generał rosyjski, Puzyrewski przytacza w swoim dziele: „Szarża jazdy pod Somo-Sierra w Hiszpanii“ słowa Napoleona: Na uwagę czyjąś, że atak jazdy jest w tym wypadku niemożliwy, cesarz zawołał: „Jakto niemożliwy? nie rozumiem tego wyrazu! Dla moich Polaków nie ma nic niemożliwego!“

*I za chwilę na jego rozkaz szwadron polskich szwoleżerów w 125 koni ruszył do ataku i zdobyciem niezdo-  
tego w pojęciach ludzkich wąwozu zdecydował o zwycięskiej  
wojnie.*

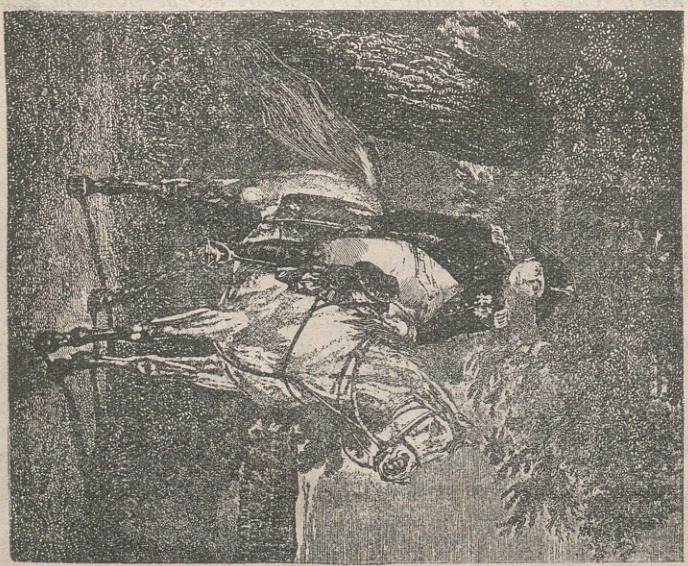
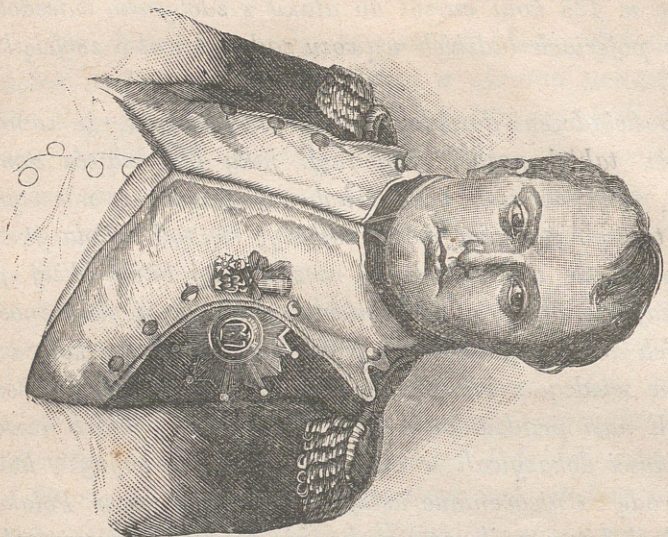
*Doświadczeni dowódcy wojskowi są zdania, że zamiar  
zdobycia takiej pozycji wojennej, jaką był wąwóz Somo-  
Sierra, mógł powziąć jeden chyba Napoleon, a na wyko-  
nanie takiego zamiaru mogli odważyć się tylko Polacy!*

*Godzi się zatem w setną rocznicę tej bitwy bliżej po-  
znać najświetniejszy czyn żołnierza polskiego i okoliczności,  
w jakich został wykonany. Niech jak najszersze koła czy-  
telników wiedzą, z jakim męstwem, z jaką pogardą śmierci  
walczyli nasi pradziadowie pod Napoleonem, jakich cudów  
waleczności dokazywali w oczach tego „boga wojny“, który  
w nagrodę za nieocenione usługi, oddane mu przez Polaków  
na polach bitew najkrwawszych—nie dla Polski nie uczynił—  
on, który choćby za Somo-Sierre mógł swym polskim żołnie-  
rzom ojczyznę odbudować.*



Praca niniejsza nie ma bynajmniej pretensji do oryginalności, zwa-  
szcza, że nie wyszła z pod pióra historyka. Jest więc tylko kompilacją  
z dzieł i studjów, jakie posiadamy na ten sam temat, a celem jej było po-  
pularne przedstawienie głośniego w dziejach wydarzenia, jak najbliższe ob-  
chodzącego czytelników polskich, oraz przytoczenie okoliczności, wśród  
jakich rozegrał się ten moment historyczny.

Oto materiały, z których przy pracy czerpano: Broszura pułkowni-  
ka Andrzeja Niegolewskiego, wydana w Poznaniu r. 1854 p. t.: „Somo-  
Sierra“; dzieło generała Żaluskiego: „Wspomnienia o pułku lekko-konnym  
polskim gwardji Napoleona I“; wydane przez Bibliotekę Krasieńskich,  
w opracowaniu Rembowskiiego: „Materiały do historii pułku szwoleżerów“;  
dzieło Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski“; studja Wacława Gąsio-  
rowskiego nad historją Somo-Sierry, oraz jego prace powieściowe z Na-  
poleonidy; dzieło generał-lejtnanta Puzyrewskiego: „Szarża jazdy pod  
Somo-Sierra“; wreszcie praca Heleny Bukowieckiej „Księstwo Warszaw-  
skie“ i inne.



Napoleon Bonaparte.



Niema kraju na świecie, gdzieby mogił polskich nie było. Ale bo też dziadowie nasi różnymi czasy na wojenkę chadzali ochoczo, za siódmą górę, za dziesiątą rzekę, hen za sine morza... Za cudzą dolę walczyli mężnie i krwią serdeczną obce ziemie zlewali; ale własnego szczęścia nie wywalczyli sobie przez wiek cały — lubo tacy z nich bywali wojownicy, jakich drugich mało gdzie oglądano po świecie... Cudów męstwa dokazywali polscy żołnierze w bohaterskich walkach, w obcych krajach dalekich, bo im na polach bitew przyświecała wiara i nadzieja, jako że własną ojczyznę ukochaną sobie przecież wywalczą — cudzej sprawie służąc z zapalem serdecznym na obczyźnie.

Tak właśnie bywalo — sto lat temu — za sławnych czasów Napoleona.

A były to czasy ciągłych wojen i walnych bitew, które długo świat cały wstrząsały, a przeszły niby zawierucha okropna, poprzez wszystkie kraje Europy.

Na francuskiej ziemi wszczęły się te burze pod koniec ośmnastego stulecia i szalały niemal bez ustanku przez pierwsze lata dziewiętnastego.

A początek owego pamiętnego huraganu, który trząsł losami wszystkich narodów, nazywa się w historii „**wielką rewolucją we Francji**“. Było to w czasie, gdy lud francuski, niezadowolony z rządów króla Ludwika Szesnastego, strącił go z tronu i korony pozbawił, a sam własne rządy zaprowadził, głosząc *wolność*, *równość* i *braterstwo*. Ale ponieważ nie wszyscy w narodzie godzić się chcieli na owe zmiany i byli jeszcze tacy, którzy pragnęli dawny porządek rzeczy przywrócić, przeto nic dziwnego, że przyjść musiało we Francji do strasznej wojny domowej. W stolicy kraju, w Paryżu, toczono bój zacięty, którego ofiarą padły tysiące żywotów ludzkich. Okrucieństwo rewolucjonistów nie miało granic, nie zawahało się nawet przed zbrodnią królobójstwa.

Krwawe te wypadki, jak łatwo zrozumieć, przeraziły sąsiadów, zatrwożyły rządy wszystkich państw europejskich; wszędzie bowiem lękać się zaczęto, iż podobna zawierucha rewolucyjna przerzuci się z Francji na inne ziemie. A już kiedy Francuzi w sposób okrutny stracili króla Ludwika i królowę Marię Antoninę, przestano w Europie spokojnie spoglądać na to, co się działo w Paryżu. Cesarz Austrii zapragnął zemsty, zabita bowiem królowa francuska była jego siostrą, a cesarzowi rękę podawali chętnie z pomocą i [inni monarchowie, zatrwożeni o własne trony na widok rewolucji francuskiej.

#### Zawrzało tedy w Europie od wojen.

Francuzi toczyli boje w Prusach i w Austrii, na włoskiej ziemi i na morzu z Anglią, a wśród wodzów wojsk francuskich zasłynął wtedy general **Napoleon Bonaparte**, który rychło świat cały zadziwił, jako największy wojownik wszystkich czasów.

Nie na królewskim dworze rodził się ten mąż najslawniejszy, lecz z ubogiej rodziny pochodził, a był synem skromnego adwokata w mieście Ajaccio, na wyspie Korsyce. Od małego żołnierza przeszedł po kolei wszystkie stopnie wojskowe, zanim powodzenie niesłychane w sztuce wojennej, wyniosło go wreszcie na wyżyny najświetniejszych godności i do

— 9 —

stojeństw ludzkich. Napoleon był „tem dla swoich czasów, czem był niegdyś Aleksander Macedoński, Juljusz Cezar w Rzymie, Karol Wielki w średnich wiekach Europy, którzy, każdy w swym czasie, postać wstrząśnionego świata zmienili do niepoznania. Napoleon większe od nich podziwienie obudza, bo sam własnymi siłami wynieść się naprzód musiał na to stanowisko, na którem tamci z urodzenia już stali; bo trudniejsze miał do zwalczenia przeszkody; bo wiek, w którym żył Napoleon, większych od niego domagał się warunków, aby mu jako tamtym przyznać wyższość i potęgę“.

Napoleon potęgą, której się nic oprzeć nie zdołało, a którą wywierał na umysły żołnierzy, świetnymi odznaczeniami i nagrodami, zapalał ich żądzę sławy, słowem, wszelkimi środkami, jakie tylko nasuwał mu bystry jego rozum i okoliczności, w jakich działał, zaprowadził w krótkim czasie porządek, karność i posłuszeństwo pomiędzy luźnem wojskiem, a wzbudził w niem zapal do tego stopnia, że na jego czele młody ten bohater odnosił zwycięstwo po zwycięstwie nad osiwiiałym w boju przeciwnikiem. **Pod takim to wodzem wielkim, który sto bitew najtrudniejszych wygrał świetnie, który całą niemal Europę pod swoje berło zawojował — walczyli przed stu laty Polacy.**

I skądże to w armji Napoleona Wielkiego wzięli się nasi pradiadowie?

Były to czasy, kiedy Polska, rozebrana przez trzech sąsiadów, przestała istnieć jako mocne dotychczas i samodzielne państwo. Patrijoci nie tracili jednak nadziei, że ojczyzna odzyska rychło swoje prawa. Kiedy zatem stracili możliwość wywalczenia ich własnymi siłami, nic dziwnego, że zaczęli ufać, iż mógłby dla Polski coś uczynić ów mocarz, na którego zwracały się oczy całego świata, gdy przezeń przechodził jak tryumfujący zwycięzca. Zaczęli ufać patrijoci polscy, ci zwłaszcza, co to po upadku naszej Rzeczypospolitej, kraj musieli opuścić, że Napoleon, który jedne państwa walił w gruzy, by na ich miejsce wznosić inne, gotów będzie odbudować niezależną Polskę, jeżeli jej synowie, walcząc w jego szeregach i za jego sprawę, oddadzą wielkie przysługi cesarzowi Francuzów.

Polscy wojownicy wszak uchodzili za mężnych i bitnych. A wiadano na owe czasy wszędzie, jak wysoko Napoleon cenil męstwo na polach bitew i jak hojnie wynagradzał bohaterkie czyny wojskowe. Znakomity ten wódz miał przeciez tak szczególny dar zjednywania sobie ludzi, że żołnierze gotowi byli skoczyć w ogień na jego skinienie. Łatwo tedy zrozumieć, że potrafił sobie odrazu zjednać i polskiego żołnierza.

Polscy patrjoci słyszeli, że Napoleon cenil bardzo wyso-ko przyjaźń. To też wierzyli, że dla swych przyjaciół polskich zechce coś uczynić chętnie, on, który mógł uczynić tak wiele. Tymczasem Napoleon Bonaparte przyjaźń cenil istotnie w latach jedynie swej młodości. Później powodzenie nadzwyczajne odmieniło go znacznie.

Ukończywszy szkołę wojenną jako zdolny oficer artylerji, wstąpił młody Bonaparte zaraz do wojska rewolucyjnego we Francji, która króla swego straciła z tronu i ogłosiła się republiką. Któż by był wtedy pomyślał, że ten zapalony dla hasel rewolucyjnych Korsykanin, sam wkrótce obaliwszy rządy republikańskie, wstąpi na tron francuski i ogłosi się cesarzem.

Zaledwie w roku 1796 nieznanym światu generał Bonaparte objął dowództwo nad czterdziesto tysięczną armją, która miała walczyć we Włoszech, a nie miała ani mundurów, ani żywności; nie miała broni, ani zapalu do walki... A już w krótkim czasie młody wódz zaopatrzył swych żołnierzy w broń, odzież i żywność, ale co ważniejsza, natchnął takim męstwem, wlał w nich taką odwagę, że ci sami niechętni do boju wojacy, stali się armją niezwyciężoną. Naturalnie, że od tej chwili z dniem każdym rosła już sława wojenna i znaczenie Napoleona, który po chlubnie ukończonych walce z Austryakami we Włoszech, po licznych tryumfach, po zwycięstwie nad Anglikami w Egipcie, wraca do Francji, staje na czele rządu i w roku 1804, ukoronowany przez papieża koroną cesarską, zostaje monarchą — on, który jeszcze przed kilku laty, jako nieznanym oficer, walczył w szeregach rewolucjonistów; zostaje monarchą, który światem trzęsie i przed którym drżą króle i narody.

Do takiego to mocarza zwracały się serca i umysły Po-

laków po rozbiorze kraju: za Francję walczyć chcieli polscy żołnierze, by w ten sposób swemu krajowi wolność wywalczyć.

W tej myśli generał Henryk Dąbrowski radził z resztkami wojska polskiego iść przebojem ku zachodowi i połączyć się z armją francuską. Przebojem iść nie dało się, więc tylko potajemnie młodzież polska przekradała się za granicę i w ten sposób rychło zgromadziło się na ziemi francuskiej mnóstwo ochotników polskich.



Polski ulan-szwolcezer w armii Napoleona.

Dwaj znakomici wodzowie nasi, Dąbrowski i Wybicki, podsunęli rządowi francuskiemu myśl, by z tych licznych ochotników utworzył na koszt Francji oddziały polskie. Rząd francuski poradził wtedy polskim generalom, żeby udali się z tem do Lombardji, w północnych Włoszech, która była od Francji wtedy zależna i musiała jej dawać w razie potrzeby posiłki wojskowe.

Tak się też stało. Dąbrowski zawarł z rządem lombardzkim umowę — w czym pośredniczył, bawiący na ten czas we Włoszech, Napoleon Bonaparte.

Według tej umowy miał Dąbrowski utworzyć osobne oddziały wojska polskiego — nazwane legionami — które używając polskich mundurów, polskiej komendy i pieśni bojowych polskich, pozostawałyby na żołdzie włoskim — rządu Lombardji, ale mogły, na wypadek potrzeby, każdej chwili powrócić do swej ojczyzny \*)).

Tak właśnie powstały owe sławne **legjony polskie**, które bohaterскими czynami wojennymi wieczystą chwałą okryły imię narodu polskiego.

To właśnie te legjony, których śpiew z przed stu laty, — ochozca pieśń żołnierska, — stała się hymnem narodowym następnych pokoleń w Polsce.

To właśnie te legjony, które śpiewały: „Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej... Za twoim przewodem, złączym się z narodem...”

Tak oto powstały te legjony, w których różnymi czasy i na różnych polach odznaczyli się chlubnie Dąbrowski, Zajączek, Kniaziewicz, Jabłonowski, Wielhorski, Chłopicki, Fiszer, Sokolnicki, Godebski, Rymkiewicz, Koziętulski, Niegolewski, Dziewanowski, Krasiński, Krzyżanowski... Te legjony, które tak bohaterско walczyły potem w Hiszpanji; które tyłu cudów waleczności dokazały na włoskiej ziemi; które w nadziei, że ich poświęcenie dla cudzej sprawy nie będzie daremne dla dobra własnej ojczyzny — szły nawet do dalekiej Afryki na rozkaz Napoleona, by ginąć strasznie od nożów murzyńskich, od zabójczego klimatu i okrutnej żółtej febrы...

---

\*) Bliższe szczegóły znajdzie Czytelnik o tem w książeczce: „Henryk Dąbrowski i Legjony Polskie“. Opowiedział Wł. Trąpczyński. Nakład T. H. Nasierowskiego 1907. Do tej książeczki również odsyłamy Czytelnika po wiadomości o innych — nie wspomnianych w niniejszem opowiadaniu — wyprawach wojennych Napoleona, w czasie jego świetności i potęgi, oraz w okresie upadku.

Ogromne, nieocenione usługi oddali legjoniści polscy Napoleonowi w jego włoskiej kampanji: ileż to zwycięstw im właśnie zawdzięczał we Włoszech. Pod Legnano oni zasłaniali całą armję francuską, pod Magnano tysiąc ich poległo, to samo pod Mantuą. Wiadomo, że pod Trebią, pod Novi, pod Genuą, żołnierze nasi zdumiewali odwagą i nadludzkiem bohaterstwem.

Ale polskie legjony Dąbrowskiego i Wielhorskiego, z których pierwszy miał zrazu pięć tysięcy, drugi zaś trzy tysiące ludzi, zraszając tak obficie krwią własną różne pola bitew we Włoszech, zeszczupły wreszcie tak bardzo, iż trzeba było nowe stworzyć, gdy Napoleon miał dalsze wojny prowadzić.

Kazał on tedy przejść wojsku polskiemu na koszt Francji z zachowaniem swych własnych mundurów, znaków i komendy, a Dąbrowskiemu polecił utworzyć nowy legjon na południu Francji, gdy Kniaziewicz miał zebrać drugi, podobny, nad Dunajem.

Znowu w bój poszły legjony, bohaterskie tocząc walki, które do dawnej ich chwały nowe dodawały zasługi, a zarazem nowe budziły nadzieje. Nikt wtedy bowiem nie wątpił, że ten niezwykły „bóg wojny“—jak Napoleona przezwano—uczyni cokolwiek dla sprawy polskiej za tyle krwi naszej dla niego przelanej po świecie; nikt nie wątpił, że Napoleon nie zawiedzie nadziei polskich, mimo, że tak wyraźnie było coraz częściej widać, iż legjony naszych wiarusów są mu potrzebne jedynie na czas wojny.

Zresztą sam Napoleon przy różnych okazjach *ludził* patriotów polskich swojemi *obietnicami*.

Naprzykład, kiedy mu potrzeba było nowych posiłków, powiedział Polakom:

— Gdy czterdzieści tysięcy wojska ujrzę pod bronią, ogłoszę w Warszawie niepodległość waszą; skoro zaś ją ogłoszę — niewzruszoną będzie. Wasz los w waszych rękach.

Szli więc wszyscy, kto tylko bronią władać był zdolny, wszyscy ubiegali się o chwałę pierwszeństwa w spełnieniu woli wielkiego cesarza Francuzów, który Polakom na boje i śmierć za sobą iść kazał.

A Napoleon za tyle naszej krwi, za tyle naszych usług niezwykłych, dał mniej, niż się mógł spodziewać ktokolwiek: utworzył w roku 1807 zaledwie małe *Księstwo Warszawskie*, on właśnie, który — gdyby jeno był zechciał — wskrzesić mógł wielkie Królestwo Polskie.

Ale na owe czasy polscy żołnierze byliby się dali porąbać za uwielbianego, ubóstwianego Napoleona.

Jemu dość było skinać — a cały pułk leciał w ogień na śmierć niechybną bez żalu, z rozkoszą.

Tak było właśnie **w Hiszpanii w roku 1808.**

Wezwał cesarz Napoleon Legję Nadwiślańską z Księstwa Warszawskiego na ziemię hiszpańską, a na rozkaz jego tysiące wiarusów polskich z ochotą przekroczyły góry pirenejskie, by niebawem pod murami Saragossy, której oblężenie kosztowało *54 tysiące trupów* — złożyć na ziemi hiszpańskiej w mogiłę sześciuset pięćdziesięciu legionistów naszych.

„Żołnierze — mówił Napoleon do swoich zwycięskich zastępów, gdy po tylu innych krajach przyszła kolej na Hiszpanję — żołnierze, po odniesionych tryumfach nad brzegami Dunaju i Wisły, przyspieszonymi pochodami przebiegliście Niemcy; dziś rozkazałem wam przejść Francję bez chwili wypoczynku...“

„Potrzebuję was żołnierze! niech na wasz widok ucieka przerażony lampart, który kazi ziemie Hiszpanji i Portugalji; ponieśmy nasze zwycięskie orły aż do kolumny Herkulesa: i tam pozostają nam zniewagi do pomszczenia!“

Dnia czwartego listopada roku 1808, Napoleon opuścił Bajonnę. Nazajutrz przybył do głównej kwatery Wittorja, gdzie przytomność jego nadała natychmiast wielki ruch działaniom wojennym. W trzy dni później, cesarz dowodząc środkiem swej wielkiej armii, przeniósł główną kwaterę z Wittorji do Mirandy nad rzeką Ebro, a na drugi dzień do Briwieska.

W bitwie pod Espinoza zdobył sześćdziesiąt armat, wziął w niewolę dwunastu generałów i dwadzieścia tysięcy żołnierzy hiszpańskich. W pięć dni później zdobył Santander, potem zajął Burgos i tam zabawił do 22-go listopada, kiedy dokoła jego obozu już prawie nie było widać nieprzyjaciela.



Napoleon posuwał wojska swoje coraz dalej w głąb Hiszpanji, chcąc zająć miasto jej stołeczne, Madryt. Po zwycięstwie pod Tudelą, gdzie Francuzi zabrali 30 armat i siedm chorągwi, a wybili, lub w niewolę wzięli 7 tysięcy Hiszpanów, rozpoczął cesarz śpieszny pochód ku Madrytowi, w czasie, kiedy obydwu skrzydła jego armji rozpraszały niedobitki nieprzyjacielskie.

Dnia 29 listopada umieszczono główną kwaterę we wsi Bocekwilas. Cesarz Napoleon stanął tu osobiście ze swą armją, pod wysokimi górami Karpetanos, które zasłaniały z tej strony miasto Madryt.

Postanowił przedostać się do stolicy Hiszpanów przez wąskie i strome wąwozy w tych górach. W szczególności miał na celu przejście przez **wąwóz Somo-Sierra**. Tego ważnego wąwozu bronil korpus czternastu tysięcy żołnierzy hiszpańskich, a była to tak warowna pozycja pod względem wojskowym, że zdobycie jej zdawało się niepodobieństwem.

Droga przez wąwóz była kręta i stroma, między wysokimi skałami wykuta.

Pominąwszy cieśninę wąwozu, między wysokościami skałistemi pod górę prowadzącą; pominąwszy, że nietylko po lewej i prawej jego stronie, ale i na samym szczycie był najeżony piechotą; to jeszcze wąwóz ten miał cztery załamania, a w każdym tem zagięciu uzbrowili go Hiszpanie czterema armatami. A zatem piechota mogła strzelać z obu stron i ze szczytu, a szesnaście armat, ustawionych piętrami, paszcze swe rozdziawiwszy, broniły przystępu do wąwozu i wszystko też, co się na gościńcu pokazało, zmiatały.

Wczesnym rankiem 30 listopada trąbki zagrały długo, wólczyście. I dźwięki ich spłynęły po biwakach, aż wspięły się na mgliste zawaly i hen, zerwały się ku obłokom i ku niebu pomknęły razem z poszeptem krótkich pacierzy.

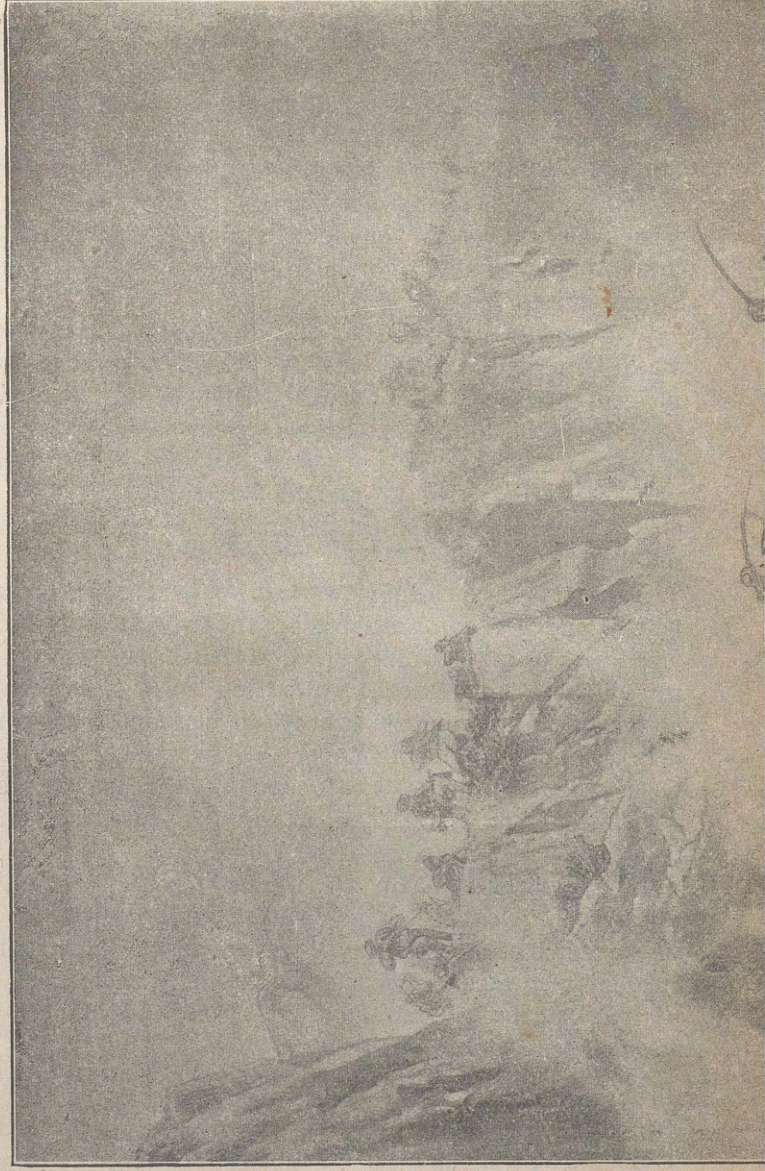
Szwolężerowie dźwignęli się. Gromada spętanych koni popowitała ich rażnem parskaniem.

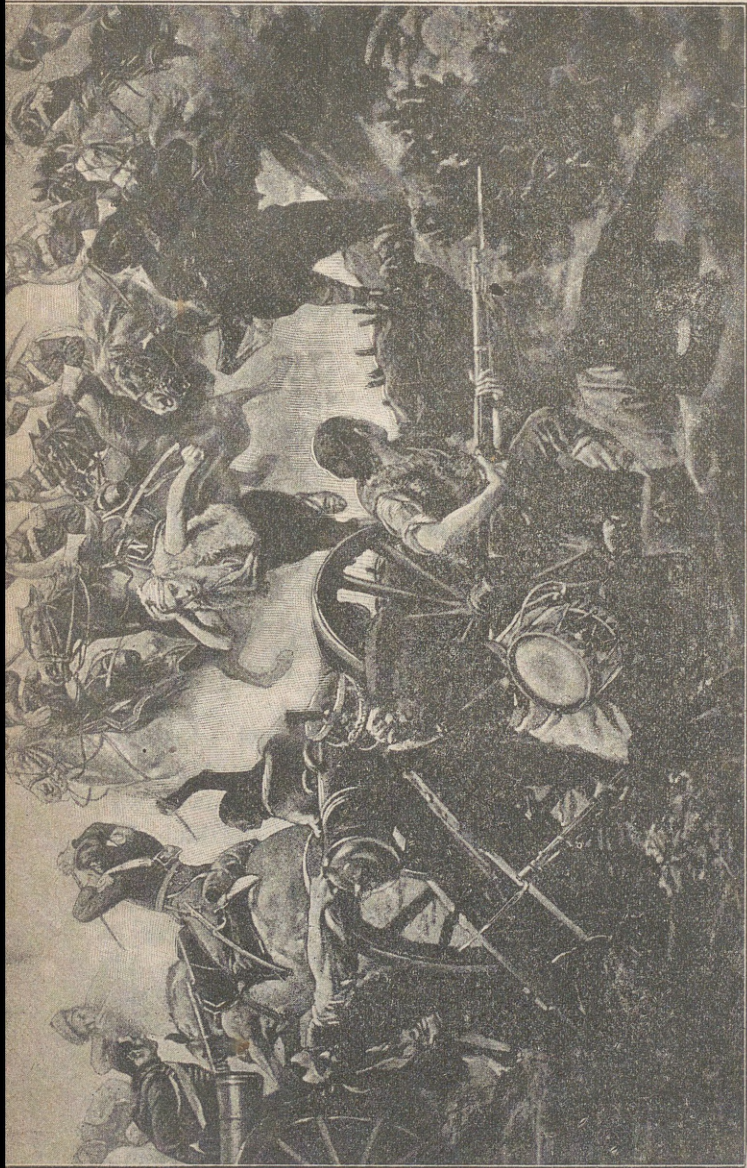
Żołnierz zegnał się, rozprostowywał skostniałe ciało, zbierał swoją chudobę i biegł wierzchowca swego opatrywać.

Ruch zawrzał gorączkowy w trzecim szwadronie szwoleżerów. Pod kociołkami zatrzeszczały drzazgi. Zachrzebotały

# Zdobycie wąwozu Somo-Sierra.

*Obraz Juliusza Kossaka.*





Mkną w amarancie, błąkając  
 Mkną lekkokonne ulany.  
 Mkną w бой-га-смігдзі і на жыці!  
 Танцы на-пасах з рзэмieni

Biblioteka  
 J. J. KRASZCZYŃSKA

Szablica z ostronym końcem,  
 Zanim się krwią zarumieni,  
 Nim w błysku zaświeci słońcom...  
 Marsz! marsz! co koń nasz wyskoczy!

My przejdziem pierwsi — a nasze  
 Ciąda niech Armia tu zbierze...  
 Lecz zatkniem polskie pałasze  
 Klingami na Somo-Siorrze!

zgrzebla. Szczotki jeły się butów. Klamry, guzy, a blachy spotkały się ze szmatami.

Oficerowie doglądali porządku, a pilnie baczyli na każdy drobiazg żołnierski. Toż szwadron na służbę przy cesarzu samym szedł, strach, gdyby się nie wydał, gdyby chybił. Napomnienie przyszloby od dowódcy gwardji Bessiéres'a począwszy, przez wszystkie stopnie by przeleciało! Rozumieli to oficerowie, rozumieli i szeregowcy i łatali jak mogli mocno podszażane uniformy.

...Bębny warknęły, trąbki zagrały chrapliwie. Z oddali isć zaczęła głuchy, miarowy poszum.

„Szwadron nasz przy cesarzu w służbie był od świtu...  
Nieprzyjaciel zasłonił drogę do Madrytu  
I wstrzymał armię całą, osiadłszy się w skałach...  
Kanoniery hiszpańskie przy dymiących działach  
Nie spoczęły na chwilę, z osobna lub razem  
Ziejąc na awangardę płomiennem żelazem;  
A krzyżowym nas ogniem z wyżyn Somo-Sierry  
Prażyły rozsypane celne tyraljery.”

Wódz hiszpański, Don Benito San Juan, był spokojny. Wiedział, że Francuzi poza góry do Madrytu dostać się nie mogą inaczej, jak tylko tą jedyną drogą, przez warowny wąwóz Somo-Sierra, a ten przecież, podług pojęć ludzkich, był niezdobyty.

Jakże mógł nieprzyjaciel wziąć taką pozycję — myślał sobie wódz hiszpański na czele czterestu tysięcy żołnierzy — przecież wszyscy nacierający muszą niechybnie zginąć, gdy się tylko zapuszczą w taki wąwóz, między niedostępnymi skałami, w których czają się z obu stron moi strzelcy, gotowi gradem kul powitać zuchwałych napastników.

Tu miały być Termpile hiszpańskie. Tu rozbić się był powinien geniusz Napoleona Bonapartego...

O wschodzie słońca rozpoczął się pamiętny bój o Somo-Sierra.

„Dzień był zimny. Mgła gruba, jak to zwykle w górach,  
Spowiła okolicę w swych wilgotnych chmurach.  
Słońce jeszcze nie weszło. Jak krwawe iskierki  
Mknął skroś mgły błysk wystrzałów. Ten i ów z manierki  
Pociągnął łyk gorzalki, lub też szedł do koła  
Bukłak z winem hiszpańskim, czarnem gdyby smoła  
I cierpkim; tego trunku pies nie pozazdrości!  
Nas i konie chłód ranny przenikał do kości...

Wszystkie drogi na góry zalała piechota;  
Gościńcem szły armaty, lśniące jak ze złota,  
A za niemi, w dwu światach zwycięstwami dumne,  
Pułki jazdy gwardyjskie, ściśnięte w kolumnę.  
Z konnicą był sam cesarz. Z orderową wstęgą  
Pod swą szarą kapotą, na białym „Marengo“,  
Stał i patrzył spokojnie: snać pozycję badał,  
Bo co chwila lunetę do oczu przykładał.“

Cesarz nadjechał. Zsiadł z konia, a gdy pod drzewem  
ogień zapalono, usiadł na stołku przy ognisku.

Wtedy jeden z polskich żołnierzy, mających służbę obo-  
zową przy samym Napoleonie, przedarł się przez orszak ce-  
sarski do samego ognia, by sobie fajeczkę zapalić.



Stojący w pobliżu Napoleona generalowie powstrzymywali polskiego gwardzistę, a jeden z nich, ofuknąwszy się, kilkoma głośniejszymi wyrazami zgromił żołnierza za prostacki postępek, nie licujący z karnością wojskową.

Zauważył to cesarz i z uśmiechem odezwał się: nie brońcie zuchowi. Generalowie natychmiast ustąpili, a Polak podszedł do ognia i zapalił swoją fajeczkę. Jeden z oficerów zwrócił mu wtedy uwagę, iż przystojnie byłoby podziękować cesarzowi. A ten mu na to w przekonaniu, że nie na próżno nasi tak blisko gór Hiszpanami obsadzonych stanęli, odpowiedział: „Co ja tu mam dziękować, ja mu tam podziękuję“. I wskazał na góry. (Chwilę tę wyobraża rycina na str. 19.)

Ledwie cesarz nadjechał, gdy pierwsze armaty ryknęły w ciszy porannej. Za cesarzem w kolumnach stała kawalerja gwardji, której czoło zajmował polski pułk lekkiej konnicy, tak zwani z francuska *szwoleżerowie*. (Spojrzyj na rycinę na str. 11.)

Napoleon pchnął do walki najpierw piechotę francuską, która usiłowała wdrapać się po lewej i po prawej stronie góry, lecz wytrzymać nie mogła podwójnego ognia armatniego i karabinowego. Napoleon, stojąc pod drzewem przy artylerji swojej w głębi wąwozu, u podnóża góry, rozważał bacznie poprzez mgłę gęstą, położenie nieprzyjaciela.

Tuż obok niego padło właśnie kilka kul armatnich ze szczytu wąwozu; ponad głowę jego przeleciały kule karabinowe hiszpańskich tyraljerów — celnych strzelców, walczących w szyku rozrzuconym. Wtedy i francuscy tyraljerzy, zaczęli zaciekle razić gradem kul stojących na stokach gór Hiszpanów, więc ci schowali się za wierzchołki.

Armaty na skałach grały coraz szybciej, zalewając wąwóz ołowiem. Powietrzem wstrząsał co chwila huk piekielny.

„Hiszpan trzymał się krzepko. Z obronnych załomów,  
Grzmiały gardziele armat kanonadą gromów;  
Jak ćma ptaków piekielnych na powietrzu mglistem,  
Kule gradem śmiertelnym leciały ze świstem.  
Raz wraz w pulki cesarskie, gdyby w żywe morze,  
Wpada bomba sycząca, głębię jego porze,

Szkarłatną falą pryska, wali trupów rzędy —  
I począł żołnierz mruzczyć: Nie przejdziemy tędy!“

Piechota francuska topniała w ogniu, znacząc każdy krok krwawemi strugami.

Jednakże za pierwszym pułkiem szły dalsze—drugi, trzeci, czwarty, szły ponure, milczące, przekonane z góry, że na pewną śmierć idą, bo zanim dotrą do skał, armaty hiszpańskie zmiażdżą śmiałków, zalewając potokami żelaza i ołowiu.

Cesarz widział, że **wśród** tego **morderczego ognia** nie czyni jego piechota postępów widocznych, to też mierząc oczyma plac boju z pod drzewa, przy którym stał w otoczeniu oficerów sztabowych, marszczył czoło coraz groźniej.

Jeden ordynans za drugim przybiegał z raportami do naczelnego wodza, ale choć każdy w innych słowach, wszystkie mówiły to samo, że zabójczy ogień nieprzyjacielski dziesiątkuje coraz bardziej pułk po pułku, a dostępu do wąwozu jak nie było, tak niema.

Właśnie nowa dywizja zdołała dopaść pnącego się ku górom tarasu, nie dbając, że cały wąwóz jeży się stalowemi lufami karabinów i groźnemi paszczami armat, lecz nowy grad kul wpadł w szeregi odważnych piechurów, zmieszał je i zmiotł odrazu, — gdy Napoleon zerwał się nagle z pod drzewa, wskoczył na białego „Marengo“ i ruszył ku górom.

„Nagle cesarz nadjechał do szosy wylotu...

Widziałem: stał jak posąg, wśród kartaczy grzmotu.

Pękające granaty ryły granit twardy —

On, jak orzeł, wzrok puścił płomienny i hardy

W wąwóz, skąd dział szesnaście śmiercią nań bluzgało.

Potem zwrócił do sztabu twarz, jak calun białą,

Skinął, chwilę na siodle nieruchomy siedział —

I któremuś ze świty kilka słów powiedział...“

Tuż za cesarzem poszedł **trzeci szwadron** (oddział konnicy ze stu dwudziestu ludzi) **szwoleżerów polskich**, prowadzony przez swego dowódcę **Kozietulskiego**, a przeznaczony dziś na służbę przy cesarzu.

„Myśmy stali na froncie z cesarza rozkazu.  
Kozietulski gryzł węża i kłął raz po raz,  
Zły jak djabeł. Z szeregów żaden głos nie wzłata,  
Czasem tylko kto syknął: „Psia krew!“ lub „Do kata!“  
Albo szkapę narowną kropnął w bok ostrogą.  
Nawet zaćmić na kuraż zakazano srogo:  
A tu coraz siarczyściej raziły nas działa  
I „Szlusuj!“ oficerów wciąż komenda brzmiała.“

Dla mgły gęstej, która na kilkanaście kroków niczego nie pozwalała rozpoznać, znaleźli się szwoleżerowie polscy tak blisko baterji hiszpańskich, że te zaraz powitały ich kartaczami. Ale nie mogąc naszych rozpoznać, nikogo też nie ranili.

Jeden z młodych poruczników, wśród tych warczących nad głowami kartaczy z armat hiszpańskich, odezwał się głośno do obok stojących kolegów:

— Ej, gdyby tak byli cokolwiek niżej wzięli, mogliby nas porządnie przetrzebić...

Na co mu zaraz szeptem odrzucił jeden ze starszych wiekiem poruczników:

— Bądźże cicho, młodzieńcze, bo nas po głosie mogą poznać.

Z pewnością nie spodziewał się — a był to porucznik Rudowski — że już za kilka godzin nie jego w mgłę hiszpańscy kanonierzy, ale on ich szukać będzie po stromej skale i śmiercią walecznych polegnie, zdobywając armaty, które teraz tylko przywitały polskich szwoleżerów.

Na dany rozkaz cesarza stanął szwadron pod samemi górami w kolumnach plutonowych na gościńcu, w bliskości przepłoty, przez Hiszpanów na nim zrobionego, aby wawóz uczynić tem niedostępniejszy.

Wkrótce kapitan Dziewanowski, powołany do generała Montbrun, przednią strażą dowodzącego, przybiegł do naszego szwadronu, konia w miejscu osadził i, zwracając się do poruczników Krzyżanowskiego i Rudowskiego, zawołał:

— General kazał wysłać oficera z plutonem na prawo w góry.

— Pewnie dla powzięcia języka — dodał Rudowski.

— A na kogo z oficerów kolej służby? — zapytał kapitan Dziewanowski.

Naraz dały się zewsząd słyszeć głosy:

— Kolej na *Niegolewskiego*.

Ten, którego nazwisko padło po kilkakroć powtórzone, był najmłodszym z oficerów, a taki już był zwyczaj wojskowy, że wszystko, słusznie, czy niesłusznie — zwłaszcza kiedy trafił się orzech twardy do zgryzienia — zwalano właśnie na najmłodszego.

— Panie Andrzeju, to na pana kolej.

Lecz Niegolewski przekonany przecież będąc, że nie na niego kolej tym razem wypadnie, skoro dopiero przed kilku godzinami powrócił z re-

konesansu, wysyłany z plutonem na tył głównej kwatery, powiedział to kapitanowi, jednakowoż oświadczając zarazem:

— Pomimo tego chętnie pójdę, jeżeli mi pan kapitan pozwoli wybrać żołnierzy...

Dziewanowski zgodził się z uśmiechem na życzenie młodego, dziewiętnastoletniego porucznika.

— Owszem, zezwalam — powiedział na odjeźdnie, gdy Andrzej Niegolewski już zbierał sobie pluton. A wybrał też chwatów, za najdzielniejszych w kompanji znanych.

Wybrał sobie wachmistrza Wasilewskiego, podoficerów Sokołowskiego i Wojciechowskiego, a między żołnierzami Stefanowicza, Ryndejkę, Norwilla, Kasarka, oraz Ponińskiego z pod Gniezna i innych.

Z wybranym tym hufcem udał się porucznik Niegolewski w góry, gdzie drogi nie było i tylko gdzieniegdzie między skałami prowadziły ścieżki nieznaczone. Po nich to po dwa,



Porucznik Andrzej Niegolewski.

a przeważnie tylko w jednego konia trzeba było przedzierać się z ogromnym trudem, a do tego mgła ogromnie gęsta nie dozwalała nic przed sobą rozpoznać.

Nad głowami tylko słyszała garstka naszych szwoleżerów gwar ludzkich rozmów, rozpoznawała nawet szcęk broni, ale okiem nic ujrzyć nie zdołała.

— Piękne to położenie patrolu konnego, który ma szukać języka — mruknął przez zęby Andrzej Niegolewski. — A jednak rozkaz wykonany być musi!

Nie zważając przeto na położenie tak krytyczne, tylko coraz dalej przedzierając się z trudem przez góry, zaszedł wreszcie ze swym plutonem do jakiejś wioski, gdzie natychmiast przykazał kilku żołnierzom zsiąść z konia...

— Postarać mi się o jakąkolwiek duszę żyjącą — zawołał, a żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony.

Czekano niecierpliwie. Wtem zewsząd powracają wyśłańcy, a każdy z nich zapewnia, że *nigdzie we wsi żywego ducha niema*.

— Na koń! — krzyknął Niegolewski i ruszono żywo dalej szukać przecie za wszystką cenę języka. Poszli dalej. Mijają drugą wieś, trzecią, a wszędzie jednako pusto. Domy wprawdzie pootwierane na ścieżaj, ale inieszkańców nigdzie ani śladu.

— Już ich wszystkich wypłoszyła stąd dywizja Lapissa — pomyślał sobie porucznik, wiedząc, że tędy przeszła poprzednio piechota francuska w swym pochodzie do Supelwedy, gdzie stały oddziały przedniej straży Hiszpanów.

Wtem, ledwie weszli w jakąś ulicę, wrzawa powstała ogromna. Już ten i ów myśli o znalezieniu języka, gdy okazuje się, że nasi szwoleżerowie natrafili jedynie na hałaśliwe *stado indyków*. Głodni byli jeden w drugiego jak wilki, więc na widok dobrze utuczonego drobiu ostrzyli sobie języki. Każdy kawalerzysta z siodła spoglądając na indyki, pomyślał sobie, żeby się jak najchętniej z nimi w tej chwili rozprawił, zapomniawszy o szukaniu tamtego, ważniejszego języka dla generała, gdyby nie karność wojskowa. Musiano się tylko widokiem niedoszłego obiadu nasycić i ruszono dalej.

Przedzierając się coraz pośpieszniej i coraz trudniej przez góry przyszli nareszcie do wioski, przed którą stała piechota hiszpańska. Ilu ich tam było, nikt wiedzieć nie mógł. Tak ich bowiem znienacka zaszli, że z powodu mgły gęstej ani Hiszpanie szwoleżerów, ani nasza konnica ich piechurów przędzej nie mogła rozpoznać, aż dopiero kiedy o krok przed sobą stanęli.

Hiszpanie wystrzelili, lecz nikogo nie raniwszy, schronili się zaraz do wioski górskiej, otoczonej skałami. Niegolewski nie chciał ich gonić. Nie znał położenia wcale, ani nie mógł sobie zdawać sprawy, z jaką siłą miał tu do czynienia, więc nie pozostawało mu nic innego, jak zakomenderować „pół obrotu w prawo“ i puścić się w odwrot.

Unikając wszelkiego boju, wracał tą samą drogą, którą przyszedł, gdy naraz spostrzega, iż brak mu jednego z żołnierzy.

— *Moi chłopcy, a gdzie Poniński?*

A wiedzieć trzeba, że porucznik nie mógł wśród tej malej garstki nie zwrócić uwagi na brak w plutonie tego Wielkopolanina, który już samą postacią potężną odbijał od towarzyszy, a był istotnie żołnierzem nadzwyczajnej siły i nieustraszonej odwagi.

Jeszcze nikt porucznikowi nie dał odpowiedzi i tylko jeden za drugim oglądał się na wsze strony, gdy wtem sam Niegolewski spostrzega, jak ich ktoś gwałtem goni, dogania.

Patrzy, a to właśnie Poniński leci ku niemu i na swym karym koniu, trzymając Hiszpana przed sobą, krzyczy, śmiejąc się całą gębą:

— A widzi go pan, panie poruczniku? Szelma chciał mi uciec, ale go trzymam...

Okazało się, że wtedy, gdy się spotkali przed wioską z piechotą nieprzyjacielską, zaraz po ich strzałach, Poniński nie usłuchał komendy porucznika do odwrotu, ale samopas wpadł między Hiszpanów, potężną swą łapą ucapił z nich jednego za karczydło, uniósł w górę odrazu niby jakiego indyka, wciągnął pośpiesznie na swego konia i co żywo gębę mu

zatkął połą munduru, żeby nie wrzeszczał, towarzyszom znać dając o swoim wstydzie, poczem sam, nie poniósłszy żadnego szwanku, przywiózł go przed Niegolewskiego.

W ten to sprytny sposób *zdobywszy „języka“* po dłuższem poszukiwaniu, pluton Niegolewskiego wrócił nareszcie szczęśliwie do szwadronu.

Zastano jeszcze swoich na dawnym miejscu pod górami, przy cesarzu. Niegolewski oddał Hiszpana kapitanowi Dziewanowskiemu, oświadczając, że winien jest Ponińskiemu zdobyć, którą ten wyrwał sam z szeregów hiszpańskich. Kapitan



„Ponowić atak“—zawołał Napoleon.

odprowadził jeńca do generała, ale zaraz do Niegolewskiego powrócił:

— Poruczniku — powiada — sam masz Hiszpana zaprowadzić do cesarza.

Lecz Niegolewski wyprosił się od tego, będąc sam ogromnie zmęczonym i mając przedewszystkiem do poprawienia świeżo pęknięty popręg. Zwolniwszy go od tego, Dziewanowski wrócił do generała, który oddał Hiszpana cesarzowi

przez swego adjutanta, a ten pochwalil się przed Napoleonem, sam sobie przypisując zdobycz języka, za co zaraz krzyżem został ozdobiony. O Ponińskim już tedy nie pomyślano, on zaś sam rychło poległszy, nie mógł nawet upomnieć się o zasłużoną nagrodę.

Niegolewski oddawszy Hiszpana Dziewanowskiemu, poszedł zaraz cokolwiek w bok szwadronu, aby konia rozkulbaczyć czemprowadzając i poprawić popręg. Udało się za nim kilku żołnierzy, którzy co dopiero z patrolu wrócili.

Wiadomość o szczęśliwym wypadku na rekonesansie rozeszła się zaraz po całym szwadronie, za chwilę bowiem nadjechał do Niegolewskiego porucznik Krzyżanowski, by mu powinszować, poczem zaraz powrócił do dowódcy całego oddziału, Koziatulskiego, który pono czekał już na jakiś rozkaz Napoleona.

Tymczasem cesarz, minawszy pułki piechoty swojej, które szły, jedne po drugich do ataku, zatrzymał się na szerokiej, mnóstwem trupów zasłanej płaszczyźnie.

Wiatr powiał i gęste dymy rozstąpiły się nieco na boki, odsłaniając widok na wąwóz Somo-Sierra. Jak gdyby z czarnej gardzieli baterja nieprzyjacielska pluła co chwila strugą żelaza na coraz to świeższe ciepłej krwi kałuże, w które waliły się pokotem całe szeregi piechurów francuskich.

— *Ponowić atak!* — zawołał Napoleon i świeży pułk strzelców, zerwawszy się z miejsca, huknął gromko „niech żyje cesarz!“ i zaczął się wdzierać po trupach poległych poprzedników na stromą ścianę wąwozu, kusząc się w dalszym ciągu o wzięcie tej niezdobytej pozycji nieprzyjacielskiej.

Niestety, ledwie zdolali atak rozpocząć, już ich przywitał rzęśisty grad kul armatnich, sypiący się z góry i z boków, dając hasło do odwrotu.

Jeszcze ranni, w pół żywi darli się naprzód nieustraszeni żołnierze, ale góry bluznęły gwałtowniejszym potokiem kul karabinowych, więc po chwili zachwiał się bezwładnie, wysoko przedtem podniesiony, orzeł cesarski i runął ponad cofającymi się szczątkami pułku, które do ostatka zmiotła nawałnica stalowa.

Cesarz zmarszczył brwi. Jak błyskawica przebiegło spojrzenie jego oczu po siwych płaszczach i ceratowych pokrowcach na wysokich ulankach...

*Żle sprawa stała*, więc ostatnia nadzieja Napoleona padła na polskich wojaków. Przekonał się cesarz najwidoczniej, że wśród tego morderczego ognia z gór, w żaden sposób **piechotą wawozu nie zdobędzie**. Pojął, że jedynym rozwiązaniem najtrudniejszej zagadki może się stać **szarża** — szalenie śmiałe natarcie zuchwałej a lekkiej konnicy na baterję nieprzyjacielską, która z wierzchołka góry całą drogę ostrzeliwała bezpiecznie i bezkarnie.



— *Szwadron polskich szwoleżerów!*—zawołał cesarz znagła do otaczających go oficerów sztabowych — *szarża natychmiast! . Wziąć mi te armaty!*

„Wtem szwadron przebiegł płomień; kurzawą pokryty  
Nadleciał major Segur, od cesarskiej świty.

(Major Segur—chwyt Francuz! dusza jak skra dziarska).

„Kapitanie! — zakrzyknął — komenda cesarska:

Wskok szarżować na wąż i wziąć działobitnie!  
Oto szansa: zwyciężyć lub umrzeć zaszczytnie  
W jego oczach! Ja z wami! Hej, na leb! na szyję!  
Niech żyje cesarz!..“ Myśmy ryknęli: „Niech żyje!”

W mig skoczył ordynans z rozkazem cesarskim do szefa szwadronu, Koziętulskiego, który jak gdyby tylko na to czekał, stał wyprężony w strzemionach, w pośrodku kilku kolegów.

Usłyszawszy rozkaz dobył pałasza i zatoczył koniem przed swoim szwadronem. W mgnieniu oka zwinęła się linja szwoleżerów, wyciągnęła w czwórki. Nad pasem siwych płaszczów i ciemnych ulanek zabłysło sto pałaszów.

— W imię Boże! — zakrzyknął Koziętulski i zakomenderował głosem jak stał:

— *Naprzód!*

Podniósł swój pałasz do góry i spał konia ostrogami, wołając:

— Chłopcy, cesarz patrzy!

— Naprzód!—powtórzyli kapitanowie Dziewanowski i Kraśniński, a szwoleżerowie, pochyliwszy się w siodłach, huknęli grzmotem:

„Niech żyje cesarz!”

„Miałem szkapę, jak siarka, ojcowego chowu,  
Ściągnę, jak wiatr, krwi wschodniej, bez wad, bez narowu,  
Gniadę, w pończoszkach białych na przednich pęcinach.  
Więc gdy kapitan po nas spojrział, jak po synach,  
I sformował kolumnę czwórkami z prawego,—  
Cugłem puścił swobodnie na grzywę gniadego,  
A on, ledwo posłyszał: „Marsz! marsz!” jak mi skoczy!  
I zaraz mgła mi krwawa przysłoniła oczy!

Jezus Marya! Gdy wspomnę, wprost nie mogę wierzyć,  
Jak on to mógł rozkazać, a my tak uderzyć!  
Waryatem lub półbogiem trza być! Kawaleryą  
Brac wąż, gdzie baterya stoi za bateryą!  
Ale wtedy z nas żaden nie pomyślał o tem;  
Rwaliśmy z krzykiem: „Cesarz!” z brzękiem i łoskotem,

Gotowi do ostatniej wylać krew kropelki...  
Jak on nas znał do szpiku! jak nas znał ten „wielki!”

Z oczu żołnierzy skry tryskały, a szwadron jak wicher popędził ku ziejącej ogniem gardzieli wąwozu, gościńcem pod górę, kolumną marszową czwórkami, pod dowództwem swego szefa Koziętulskiego.



Szef szwadronu szwoleżerów, Jan-Leon-Hipolit Koziętulski.

Porucznik Andrzej Niegolewski, ledwo co konia skulba-  
czył i popręg poprawił, już spostrzegł swój szwadron lecący  
pod górę. Nie słyszał danego do ataku rozkazu, na bok się  
usunąwszy, lecz na taki widok czemprędzej wskoczył na ko-  
nia i wraz z garstką towarzyszących mu kawalerzystów, po-  
spieszył, by złączyć się ze szwadronem jak najprędzej.

Widział, jak za polskimi szwoleżerami gonił wzrok Napo-  
leona, pełen zdumienia, podziwu i otuchy.

A lekkie konie naszych zuchów, rozwarłszy chrapy, szły  
jak burza, jak potok wezbrany w górach, z wyciągniętymi szy-  
jami, ledwie ziemi dotykając kopytem.

Niegolewski dogonił swoich w chwili, kiedy już szwadron wpadł do wąwozu.

Baterja hiszpańska, ustawiona na pierwszym skrawku, ryknęła ponuro i na powitanie śmiazków sygnęła kartaczami, od których zaraz sześciu szwoleżerów zwało się z koni.

„Jęk! Wrzask! Dym! Krew! Plomienie! Ciemna kurzu  
Ludziom pióra i koniom wystrzeliły pióra! [chmura]  
Wpadliśmy w wąwóz... gnamy... Rąbiem jak szatany...  
Z przed kopyt ogłupiale zmykają Hiszpany.”

Szwadron pędził dalej bez najmniejszego zatrzymania się i zgola bez porządku wojennego, który dla tej cieśniny był nawet niepodobny. Lecieli wszyscy na swych koniach wiatronogich, wśród ogromnego ognia tak kartaczowego z przodu, jako też z prawej i lewej strony wąwozu i z samego jego szczytu, z ręcznej broni przez piechotę na naszych, w tej wązkiej szyi górskiej, ciskanego z piekielną zjadłością.

Przy odgłosie „niech żyje cesarz!” wyprzedzał jeden drugiego, by jak najprędzej na szczyt wąwozu dostać się i na nieprzyjaciela natrzeć.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał *Kozietulski*, lecz w tej samej chwili koń zachwiał się pod nim i padł, krwią buchając.

Nieustraszony dowódca bohaterskiego szwadronu stoczył się pod ścianę wąwozu ciężko ranny.

W pierwszym zagięciu wąwozu, ledwie z armat po nad nim ustawionych zaczął się ogień, zatrzymało się kilku szwoleżerów słabszego ducha, zostając poza szwadronem dalej pędzącym. Lecz skoro się tylko tam skupili, dostrzegł ich Niegolewski, dopędzając szwadronu.

— Panie poruczniku, panie poruczniku, nie jedź dalej, bo tam strasznie strzelają! — wołał ku niemu *Konopka* z kasztanowego konia z białą grzywą.

Jednakowoż młody Niegolewski krzyknął im tylko zdaleka:

— Naprzód! niech żyje cesarz! — i przeleciał obok nich galopem, na jaki tylko koń jego mógł się zdobyć.

W jednej chwili zawstydzeni maruderzy pognali za nim i złączyli się ze szwadronem.

przy owej zaś baterji czwartej, poza polskimi kawalerzystami, stało jeszcze kilkunastu hiszpańskich kanonierów.

— Sokołowski, uderzmy na nich! — krzyknął młody porucznik Niegolewski—i natychmiast uderzył z tą garstką na ostatni szaniec nieprzyjacielski.

Za chwilę okrzyk przerażenia wydarł się z piersi broniących ostatniej reduty Hiszpanów. U stóp ich, na krańcach wąwozu, ukazały się szare płaszcze szwoleżerów polskich. Zanim kanonierzy zdołali lonty przyłożyć do dział, by dać nową salwę, już krew zalala zagwożdżone armaty, a okrzyk potężny zwycięstwa „niech żyje cesarz!” obił się o zręby skał.

„*Niezdobyty*” wąwóz *Somo-Sierra zdobyli polscy szwoleżerowie*. Przeszkoda nie do zwyciężenia—uchylona. Droga cesarzowi i jego arniji do Madrytu otwarta i utworowana.

Hiszpanie uciekli.

„Tu przepaść! Tam harmaty! — „Wskok! wskok!! wskok!!! do [czarta!!!

Baterja jedna!... druga!... i trzecia!... i czwarta!...  
Zdobyte!... Koziętulski w najpierwszym momencie  
Stracił konia i runął na wąwozu skręcie...  
Nie zginął! — wstał i pieszo pobiegł do ataku.  
Dziewanowski z Rowickim zostali na szlaku;  
Rudowski na armacie legł, przez siebie wziętej.  
Krzyżanowski zabity... Krasiński pocięty...  
A przy czwartej baterji, posoką zbryzganej,  
Mdlął dzielny Niegolewski z jedenastu rany...”

Andrzej Niegolewski rozejrzal się wokoło siebie. Garstka jego towarzyszy, wraz z Sokołowskim poległa. Wtem i koń pod nim, krwią buchnąwszy, padł od ostatniego strzału działowego...

Kiiku Hiszpanów uciekających nawróciło na ten widok, a dwóch z nich z karabinów, przyłożonych do głowy młodego porucznika, dało ognia. Rzadko komu tak blisko śmierć zaglądała w oczy. Ten młodzieniec dziesiętnastoletni widział karabiny na swej głowie, słyszał obadwa strzały, poczuł omdle-

nie skutkiem ran ciężkich, a jednak rozumiał jeszcze słowa Hiszpanów, wołających: „na prawo, do góry”.

W tej chwili dziewięć razy pchnięto go bagnetem, ograbiono z pieniędzy i konia na nim zostawiono, krwią ociekającego.

Razy bagnetów ocknęły go z bólu. Poczul się przy życiu i odzyskał przytomność umysłu. Otoczony jeszcze garstką Hiszpanów, zaczął się obawiać, aby go nie spotkał zwyczajny u nich los jeńców, to jest śmierć w okropnych mękach. Nie śmiał tedy nawet odetchnąć. *Udawał trupa*. Opuścili go więc Hiszpanie, pomknąwszy za swymi uciekającymi w popłochu z pustoszejącego pobojowiska.

Niegolewski popadł teraz w ponowne omdlenie; a kiedy o świcie zaczął powracać do przytomności, usłyszał jak gdyby w bardzo ciężkim śnie, coraz bliższe bębny i coraz głośniejsze okrzyki: „niech żyje cesarz!” Z trudem podniósł powieki... Naraz zamajaczyły przed nim karmazynowe ułanki... Zdała ujrzał szwoleżerów polskich i strzelców francuskich.

Chciał głowę podnieść, lecz nie mógł. Oddech przecież mając wolny, miał nadzieję, że godzina jego jeszcze nie wybiła. Zaczął wołać głośno, o ile mógł, byle go usłyszano, iż nie leży zabity, lecz tylko ranny. Będąc obdarty i wiedząc, że na porucznika tyle nie zważano, ile na kapitana, udał w obec przechodzących żołnierzy, że jest kapitanem i prosił, żeby się zmiłowali i ściągnęli z niego konia, który go gniótl ciężko. Jednakowoż głos jego był za słaby i nikt z jadących opodał szwoleżerów nie dosłyszał go wcale. Minęli tak samo rannego maszerujący za tamtymi strzelcy francuscy.

Dopiero oddział wołyżerów napoleońskich zauważył jego jęki i, podszedłszy w jego stronę, zatrzymał się. Ściągnęli z niego konia, poczem na prośbę samego Niegolewskiego przenieśli go dalej pod czwartą baterję nieprzyjacielską i tam płaszczami nakryli obdartego. Nadeszło paru chirurgów i ci opatrzyli *szesnaście ran* młodego porucznika. Mimo opatrunków jednak krew z ran na głowie, pod bandażami, zaczęła niebawem płynąć mocno.

Zebrało się rychło przy Niegolewskim kilkunastu towarzyszów broni, którzy konie swe potracili podczas ataku.

Ci właśnie opowiedzieli rannemu, że podczas świetnej szarży szwadronu szwoleżerów, który zdobył wążów Somo-Sierra, poległa połowa bohaterów, a mniej lub więcej ranni byli wszyscy. Padli w boju kapitan Dziewanowski, Krzyżanowski, Rudowski, Rowicki; ciężkimi ranami okryci zostali Koziętulski, Krasiński Piotr i tylu innych, którzy wszyscy bez wyjątku odznaczyli się męstwem niesłychanem.

Starsi żołnierze, stojący gromadką nad młodziutkim Niegolewskim, poważnie, by mu się jeszcze wiele życia należało po szesnastu ranach. Nie przeczuwali wtedy, że on właśnie ze wszystkich swych kolegów żyć będzie najdłużej—przeszło jeszcze pół wieku.

Wtem nadjechał marszałek Bessieres, któremu porucznik Niegolewski znany był osobiście. Marszałek zsiadł z konia, przybliżył się do rannego i rzekł wzruszony:

— Cesarz widział świetną szarżę szwoleżerów polskich i będzie umiał odpowiednio wynagrodzić waszą dzielność, młody zuch! Ten świetny atak powinien być uważany za najśmielszy i najgodniejszy podziwienia krok wojenny, jaki kiedykolwiek wykonała konnica i dlatego też okrył chwałą pułk, który go dokonał...

Na to mu jednak, wskazując na armaty, przy których leżał, odpowiedział Niegolewski poważnie, głosem słabnącym:

— Panie marszałku, umieram za cesarza... Oto działa, które zdobyłem... Powiedz to pan cesarzowi.

Wkrótce nadjechał sam Napoleon i wzruszony bohaterstwem młodziutkiego oficera polskiego, który mu zdobył ostatni szaniec w niezdobytym wążowie Somo-Sierra, odpiął ze swego munduru własny *krzyż Legii honorowej* i pochyliwszy się nad rannym szwoleżerem, sam przypiął mu go do piersi skrwawionej.

Niegolewski wycieńczony utratą krwi, nie mógł już w tej chwili słowami dziękować cesarzowi, ale w myśli gorąco brał sobie do serca zaszczyt niezwykły, jaki go spotkał.

— Pierwszy to krzyż, który się pułkowi naszemu dostał—

myślał zasypiając, gdy na rozkaz Napoleona kilku chirurgów zajęło się troskliwie jego ranami.—Ja, najmłodszy oficer, pierwszym zdobył krzyż jako szwoleżer, a do tego zdobyłem go sobie w dzień swoich imienin...

W tej chwili trąbki zagrały u wejścia do wąwozu Somo-Sierra. Napoleon ze sztabem zatrzymał się przed pułkiem szwoleżerów, który sprezentował broń na powitanie wodza naczelnego. Żołnierze francuscy bez komendy stanęli szeregiem i zdjęli czapki na znak czci dla bohaterów. Cesarz zdjął kapelusz i, uśmiechnąwszy się do Polaków, zawołał:

— *Cześć najwaleczniejszym z walecznych*—poczem dał znak i w powietrzu rozległy się dźwięki polskiego marsza Dąbrowskiego.

„Jam się ocknął, w krwi cały na ostatniem dziale...

Złote słońce na niebie gorzało wspaniale.

Nadjeżdżał właśnie cesarz. Patrząc: a on z głowy

Zdjął kapelusz trzyrożny; z twarzy marmurowej

Biły blaski płomienne... Spojrzał na harmaty,

Na trupy szwoleżerów, jak wiosenne kwiaty,

Ścięte kosą... I nagle ściągnął brwi sokole

I woła: „Cześć walecznym!”...

I wstyd miał na czole!”...

---

(Wiersz powyższy: „Opowiadanie szwoleżera o zdobyciu Somo-Sierra”, którego strofami przepłataliśmy powyżej naszą gawędę, napisał jeden z najpopularniejszych dziś w Warszawie i w kraju całym poetów, kochany za swoje serdeczne, swojskie wiersze i piosenki o starej Warszawie i jej pamiątkach, oraz o dzielnych wiarusach polskich z przed stu laty, Artur Oppman, podpisujący zawsze swe poezje pseudonimem *Or—Ol*).

---



Walka na szczycie Somo-Sierra.

Z obrazu Suchodolskiego.



Spotkanie Napoleona z polskimi szwoleżerami po zwycięstwie pod Somo-Sierrą.

\* \* \*

*Losy rannych bohaterów naszych, zabranych z krwawego pobojowiska pod skałami Somo-Sierry, najwymowniej opowie Czytelnikom p. Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus), znakomity pisarz, twórca powieści historycznych z czasów Napoleonidy; posłuchajmy jego opowieści o tem, co się działo po bitwie pod Somo-Sierrą:*

„Małe miasteczko górskie Bujtrago, leżące tuż u wylotu wąwozu Somo-Sierry,<sup>\*)</sup> tonęło w nieprzejrzystych, zimowych

---

<sup>\*)</sup> Hiszpania (wraz z Portugalią) zajmuje półwysep Pirenejski, którego środek tworzy wielką wyżynę, zamkniętą, stromymi ścianami od morza Śródziemnego, a pochyloną ku oceanowi Atlantyckiemu. Rozdziela ją na dwie części pasmo gór skalistych, bezdrzewnych, o grzbiecie szczybatym, nazywane po hiszpańsku Sierra, co znaczy „pila”. Najwybitniejszą grupę tych gór zębatych, oddzielających Starą Kastylję od Nowej Kastylji, stanowi Sierra Guadarama, ze sławnym w dziejach wąwozem Somo-Sierra (największa pila).

oparach grudniowego poranku. Nizkie, rozpiaszczone domy świeciły pustką, patrząc ponuro po przez wpół rozwarte okienice na snujące się ulicami żółdactwo. Jeszcze dni kilka temu życie tryskało tu wrzącym strumieniem. Okrzyki wojenne łączyły się ze szczękiem oręża, ze zgrzytem ostrzonych obosiecznie nożów.

Aż Bujtrago poruszyło się, zakotłowało i... zamarło w wygasłych ogniskach. Dusza zeń wyszła, został tylko szkielet...

A potem do szkieletu tego jęły ciągnąć długie karawany wielkich, okrytych białym płótnem wozów, sączących krople krwi. Z wozów tych dobywano bezkształtne kawały ciała, dyszących ciężko, a bezwładnie się przelewających— i układano je w opustoszałych domach na gołej polepie.

W obszernej, ponurej izbie jednego z domów miasteczka Bujtrago leżało rozłożonych na glinianem klepisku aż sześć materacy.

Sześć materacy, co za zbytek, co za rozrzutność karygodna! W izbie tej było zaledwie piętnastu rannych, a w całym mieście nie naliczyłby więcej podeszań nad dwadzieścia.

Starszy chirurg zwrócił uwagę na tę niesprawiedliwość, gdy wszedł do izby, a zoczywszy tuż przy progu wpół drzemiącego dozorcę, huknął na niego:

— Sześć materacy? Kto tu?! Jak się ważyłeś?

— Nie wiem!—odburknął dozorca.—Pierwszych ich przywieźli. Po trzech prawie leży na jednym.

Chirurg powiódł bystrem okiem po izbie i przypadł do kąta.

— Po trzech?! Patrz! A tu dwóch tylko! Wygodnisie!... Dołożyć im trzeciego!...

— Wody!—jękął przejmujący głos.

— Dajże mu tam tej wody, do licha!...

— Skąd mu wezmę!

— Może masz wino? Ba, sam się z niem zdążyłeś załatwić. Nieporządek! Nieład! Zwarjować przyjdzie! Ile tu do roboty?

— Wszyscy!

— Są oficerowie?

— Kto ich tam wie! Poszarpane to... zmiętoszone, obdarte... ani szlufy.

— Jaki pułk?

— Szwoleżerzy gwardji.

— Hm... Zimno tu. Skocz po misę żelazną! Przy głównym ambulansie węgle leżą! Przynies i roznieć im ognia!

Zostawić ich w takim zimnie niepodobna. Za chwilę tu przyjdę z felczerami!

Chirurg wyszedł. Dozorca leniwie zabrał się do wypełnienia danego mu rozkazu. Naniósł powoli węgla drzewnego, ustawił na środku izby hiszpańskie palenisko, znalezione w zakamarku domostwa, skrzesał ognia i wkrótce z misy dobiły się wraz z dymem gryzącym podłużne, sine płomienie.

Załatwiwszy się z ogniem, dozorca otulił się płaszczem i usiadł na pniu przed domem, mrużąc półgłosem do siebie:

— No, tu przynajmniej nie będę miał waszej muzyki.

W izbie tymczasem wśród jęków a ciężkich westchnień rozległ się cichy głos:

— Jędre! słyszałeś... Powiada, że nas za mało na tym materacu!

— Oprawcy! traktują nas, jak psów!

— Cóż chcesz? Jedna noga śmiało się tu może zmieści! A... jutro może i ręka także...

— Kapitanie! Cóż bo znów?...

— Tak mi się zdaje! Ramię lewe piecze... tak mnie piecze, jak rozpalonem żelazem... A patrz... władzy w rękę wcale...

— Et! Co to znaczy! Wygoją! Byle się wydostać z tego pustkowie! Z samego pragnienia zdechnąć przyjdzie! Ooo! W głowie mi szumi. Porwałbym te wiechcie na strzepy, gdybym mógł!

— Mospanowie, do pioruna!—dał się słyszeć w przeciwległej stronie izby donośny głos.—Chcą nas tu żywcem uwędzić... Patrzcież, jaki się dym wydobywa!...

Ciała rannych poruszyły się na dźwięk tego głosu.

— Zagorzejemy, ani chybi!—Niech się to raz skończy!—Wołajcie!—Psa niema!—Łotry!—Rakarze!—zawołano dookoła.

— Kto tu jest?!—wołał tymczasem ten sam głos donośny. — Mospanowie, do apelu! Wiedzmyż przynajmniej, kto jest z nami w tej smutnej kompanji! Słyszycie?! Kogo stać na dobycie głosu?

— Zaczynaj pierwszy!—mruknął bas z głębi. — Apel, to apel! Bodaj cię... to mnie szelma liznał... u-u-u! Spieszcie się tylko, bo tu, obok mnie, już się inny apel rozpoczął. Jezus Marja! Kona!... Przez miły Bóg... przestańcie skomleć!... Mówi coś... chce mówić!

Ranni zacisnęli zęby. Wśród głębokiej ciszy dał się słyszeć szept przejmujący, rzewny...

— Bracia... powiedzcie... Matce mojej powiedzcie...

Szept przeszedł w bełkot, a potem w przeraźliwy charkot.

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków, Amen!— zamruczał ponuro bas.

— Amen!— odpowiedzieli chórem.

— Jędrak!—ozwał się znów ranny do swego sąsiada na materacu.—Myśl słuszna, apel trzeba zrobić. Tyś mocniejszy, obwołaj!

Nazwany Jędrkiem uniósł z wysiłkiem obandażowaną głowę i rzucił ostro:

— Kapitan trzeciego szwadronu, trzeciej kompanji, Jan Dziewanowski, wzywa do apelu! Leży tu, obok mnie, porucznika Andrzeja Niegolewskiego. Następny?

— Podoficer siódmej kompanji, Stanisław Sokołowski!

— Ignacy Rymdeyko, szwoleżer!

— Piotr Krasieński, kapitan sió-ó-ó-dmej!...

— Wincenty Dobiecki, wachmistrz-szeł siódmej kompanji!

— Wincenty Tedwen, wachmistrz!

— Zielonka...

— Norwił, szwoleżer!

— Kasarek!

— Wojciechowski!—warknął bas.

— Kozietański!—ozwał się dźwięczny głos i cisza znów zapadła, przerywana ciężkim dyszeniem rannych.

— Czy wszyscy?! - badał Niegolewski.

— Dwaj nieboszczycy, którzy obok mnie leżą... odmawiają posłuszeństwa! — mruknął basem wachmistrz Wojciechowski.

— Kapitanie! Kapitanie Dziewanowski! Co panu?!... — wołał tymczasem Niegolewski, patrząc z przerażeniem, jak wargi Dziewanowskiego siniały zwolna, a oczy mu słupem stawać zaczęły.

— Nic, Jędrak! Pora na mnie!...

Czad buchał coraz gwałtowniej z misy.

— Ratujcie! Na Boga!... — jęknął Niegolewski. — Głowę mu rozsadzi! Ratujcie Dziewanowskiego!...

— Nasz kapitan! Ojciec nasz! Żeby choć jedna ręka.— Czekajcie chłopcy!—ozwał się Kozietański jęcząc z bólu.—Ja tu, widzę, bodaj największy nygus między wami! Udo tylko! Głupia kontuzja! Idę do Dziewanowskiego! Żeby choć kropla wody, zalałbym tę nieszczęsną górę z węglami!... Czekać...

Kozietulski zwlókł się na rękach ze swego materaca i jał czołgać się na prawym boku ku Dziewanowskiemu, odpoczywając co chwila i dysząc ciężko. Wreszcie zmógł się, zgrzytnął zębami dla opanowania drętwego darcia w lewym udzie i znalazł się tuż przy materacu, na którym, jedną okryci derą, leżeli Dziewanowski z Niegolewskim.

— Panie Janie! Do pioruna!

— Pułkownik!—wybełkotał z trudem Dziewanowski.

— Co wam?! Nie dawać się... psia krew!

— Ja się nie... nie daję... ale trzeba!... Nie żal... Nogę odjęli już!...

— Furda! Armaty chciałeś własnem ciałem zagwałdzać. Cesarz pytał o was! Legja na was czeka!...

— Legja! Nie dla niej...

— Pewnie! Stara gwardja zdumiona. O wás tylko mówią i o Jędrku!

Kapitan jęknął.

— Może... może wam pomódz, może poprawić leżenie? Łapy mam zdrowe!...

— Nic! Głowę mi podejmijcie! Prawda, jaka ciężka?... Kto tu? Jędrak leży—śpi pewnie! Biedak! Rzeszoto żeń zrobili! Pułkownik! Przeżegnaj mnie! Tak! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Amen! Teraz rękę moją uściśnij! Mocniej! Nie czuję!... Umieram po trochu! A... a dym... pali... dławi! Puść głowę—nie utrzymasz!

Kozietulskiego kurcz chwycił za gardło. Szeł pochylił się mocniej nad Dziewanowskim. Kapitan uczuł na twarzy jakby opad kroplistej rosy.

— Płaczesz, pułkowniku?

— Cóż znowu!—obruszył się Kozietulski.—Opaska mi się z czoła zsunęła i zadrapanie krwawi...

Czad w izbie wzmagał się; odurzał rannych, zatrutował i tak gasnące życia. Kilku już zapadło w półsenne odrętwienie—chwila jeszcze, a gryzący dym miał ubezwładnić wszystkich.

Naraz drzwi się z trzaskiem otwały. Do izby wpadł chirurg z felcerami i dozorcami.

— Co to znaczy? Chcecie ich pozabijać?! Wynieść mi te węgle! Niewypalone poważyłeś się postawić! Nie dopatrzyłeś—pod sąd pójdziesz za niedbalstwo! Drzwi na ścieżaj! Powietrza co tehu! Odbić deski z okien!... Uporządkować izbę! Łada chwila jego ekscelencja nadjedzie. Napoje macie? Dalej! Żywo! Patrzcie, trzech zeszywniałych! Mary i wynieść!!

Chirurg huczał, kłął i sypał rozkazami. Ruch zrobił się

w izbie. Wyniesiono trupy szwoleżerów, rozdzielono napoje rzeźwiące, poprawiano i zmieniano bandaże.

Jeden tylko podoficer Sokołowski pić nie chciał, zęby zacisnął i jęczał głucho.

— Za mną, jeden z drugim! Niech żyje cesarz!

— Co on mówi?—rzucił pospiesznie chirurg.

— Szarżuje pewnie biedak do nieba!—objaśnił po francusku wachmistrz Tedwen.

Chirurg pochylał się nad Sokołowskim, lecz ten już nie żył... Dozorcy usunęli trupa. Chirurg zbliżył się do materaca, na którym leżeli Dziewanowski z Niegolewskim i spostrzegł skulonego na ziemi Kozietułskiego.

— Co ty tu robisz? Na miejsce z nim!—zakomenderował ostro chirurg.

— Wiedz, kpie, że do pułkownika mówisz! — huknął z ziemi szwoleżer Rymdeyko i omdlał.

Chirurg się zmieszał.

— Panie pułkowniku! Proszę do opatrunku... Przepraszam... W tym tłoku...

Kozietułski wskazał na Dziewanowskiego.

— Tu... tu najpierw!... patrz... bohater Somo-Sierry leży przed panem! Dziewanowski!...

Kapitan drgnął.

— Nie... nie mnie!... Jędrak pilniejszy! Jego trzeba ratować... mnie nie pomoże!...

Chirurg skinął na felczerów i dozorców — odsłonięto derę... zdjęto bandażę z ramienia Dziewanowskiego. Oczom medyka ukazała się wielka, sina rana, sącząca brunatną, poczerniałą krew. Chirurg rzucił jakiś wyraz przez zęby... Felczerzy go zrozumieli, nałożyli szarpie, zabandażowali ranę z powrotem. Tu nie było co robić... reszty ran nawet oglądać się nie opłacało. Chirurg pochylał się nad Niegolewskim...

W tejże chwili we drzwiach izby ukazał się wielki marszałek dworu Diurok, księżę Fryulu, w otoczeniu adjutantów i paziów, z których jeden niósł wielką tacę, pełną błyszczących dukatów.

— Czy tu leżą uczestnicy szarży na Somo-Sierra?

— Tu, ekscelencjo!—odrzekł chirurg.

— Panowie! Pozdrawiam was w imieniu najjaśniejszego pana, który równocześnie polecił mi zapytać, czy nie macie jakich potrzeb, czy nie macie jakich prośb?

Gлуche milczenie zaległo izbę; wtem z barłogu pod ścianą odezwał się chrapliwy głos Norwiłła:

— Owszem! Nie chciałbym... zdychać z głodu i pragnienia!...

— Ach! — zafrasował się szczerze wielki marszałek. — Bądźcie panowie spokojni! Dziś jeszcze przewiożą was do Kamarten, a stamtąd wprost do Madrytu. Chirurg przyboczny jego cesarskiej mości, generał Larrej, ma poleczone osobieście zająć się wami!... Czy leży tu kto z panów oficerów?

— Tak jest, ekscelencjo... właśnie szef szwadronu... kapitanów dwóch... porucznik...

— Szef Koziętulski jest tutaj?!

— Jestem, ekscelencjo!

— Natychmiast każe przenieść pana do oddzielnej izby!...

— Nie, nie, ekscelencjo! My tu jesteśmy między swoimi! Pozwól nam zostać razem! Ot... dusza szarży wczorajszej, kapitan Dziewanowski, tak samo pewnie myśli!

— Najjaśniejszy pan czterokrotnie o nim raczył wspominać! Krzyż oficerski podpisany!...

— Nogę mu odjęto, a ręką...

— Starość będzie miał zabezpieczoną! Panowie! Muszę wam oświadczyć, że celem mego przybycia jest wysoka pieczołowitość najjaśniejszego pana o was! Oto, przewidując wasze potrzeby, najjaśniejszy pan polecił mi wydać ze swej szkatuły prywatnej po dziesięć dukatów każdemu z oficerów, a po cztery niższym stopniom! Panowie pozwolą!

Dziewanowski na te słowa targnął się gwałtownie i dobywając resztek sił, zawołał z oburzeniem:

— Pułkowniku! Jędrak! Krasiński! Słyszycie? Przyszedł nam płacić!..

Ranni zaszemrali ponuro.

Diurok, nie rozumiejąc słów, wyrzeczonych przez kapitaną, lecz z twarzy zmarszczonych, z głosów wzburzonych domyślając się ich znaczenia, jął tłómaczyć, że dukaty to tylko dowód pamięci, dowód troskliwości cesarskiej, a nie zapłata...

— I ja tak sądze! — załagodził wzburzenie Koziętulski.

— Tak, tak, panowie!... — zagaił znów Diurok. — Wiercie mi, te odwiedziny u was przez życie całe nie wyjdą mi z pamięci!... Bohaterstwo wasze wieki przetrwa...

— Ekscelencjo! — stęknął nagle młody szwoleżer Kasarek.

Diurok pochylił się ze współczuciem nad rannym.

— Co, co powiesz, biedaku?...

— Ja... ja tych pieniędzy nie chcę!... Co mi po nich!... Dajcie je... sierotom!... Umieram...

— Masz matkę? Masz rodzinę?! — zagadnął wzruszony Diurok.

— Nie!... Rodzina moja... tu!... Dziewanowski ojciec... wachmistrz brat...

— Dzielny! Dzielny żołnierzu!... Daj.. niech dłoń twoją uścisnę!...

— Dłoń, ekscelencjo?! Wczoraj dwie były... dzisiaj noga tylko została!.. Powiedz cesarzowi, ekscelencjo... że... szwoleżer Kasarek kochał go przez miłość dla... Pod Twoją... obronę!...

Spazm kurczowy schwycił nagle szwoleżera i zdławił w nim resztę wyrazów. Kasarek konał.

Diurok odwrócił twarz zalaną łzami.

Dziewanowski spojrział zdziwiony na marszałka i rzekł cicho:

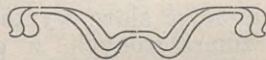
— Ekscelencjo! Czego płaczesz? Patrz... umieramy... z pogardą w sercu!..

— Kapitanie! Łaskę mi wyświadczyć... Niech czemkolwiek mogę ci dopomódz!..

— Zajmij się Niegolewskim!..

— Kapitanie! Słowo moje! Lecz panu chciałbym...

— Mnie nic nie trzeba... Mnie, ekscelencjo, każ włożyć pod głowę woreczek ziemi polskiej, którą znajdziesz w mojej kulbace!..“



## *Bohaterom Somo-Sierry.*

Wy nieśliście bohaterzy  
Dla ojczyzny żywot szczery,  
Gdzie się wąż gładem żyje,  
Po za Ebrem — Somo-Sierry.  
Szliście z hasłem: „wiara żyje“,  
Tak się Polak dzielnie bije!  
Nie rwę laurów z wieńca chwały  
I hołd składam męstwu, sile,  
Ale nagie płaczą skały,  
Te hiszpańskie Termopile,  
Żeście poszli w bój szatański,  
Przeciw legji tej spartańskiej.  
Cześć wam dzielni w bojach mężo,  
Hasłem zwycięstw obłąkani,  
Wieniec sławy krył orężo,  
Lecz ta prawda serce rani,  
Że brał lekko świętość danin  
Dumny, bujny Korsykanin.  
Nie rwę laurów z wieńca czynów,  
Wierząc w zapał i cel szczery,  
Lecz was, Polski dzielnych synów,  
Żal w szczelinach Somo-Sierry,  
Żal mi naszych tych szeregów  
Z San-Domingo, Nilu brzegów.  
Hiszpan bronił swej Tudeli,  
Bronił wściekle Saragossy,  
Po co wyście tam stanęli,  
By przeważyc wálki losy,  
Po co wyście wtedy byli,  
Kiedy tamci się bronili?!  
Nie rwę liścia z wieńca sławy,  
A z wyrzekań cóż zostanie,  
Lecz wam przystał mur Warszawy,  
Grochów, Raszyn i Iganie,  
Bo brał lekko Korsykanin,  
Lekko świętość waszych danin.  
Cześć wam dawni bohaterzy,  
Przyjdzie inna nowa chwała,  
Ludzkość w serc czyny uderzy,  
By miłością zwyciężała,  
I wyrosną nowi mężo,  
Co wiedzy wzniosą orężo!



Wachtmistrz Wincenty Tedwen.

Z pośród różnych pamiątek żołnierskich, opowiadających dzieje zdobycia Somo-Sierry przez polską konnicę, warto przytoczyć tu, choćby w wyjątkach, bardzo zajmujące i pełne rzeczy niezbyt znanych, wspomnienie wachmistrza pułku szwoleżerów, a następnie kapitana gwardji *Wincentego Tedwena*, który o dniu 30 listopada r. 1808 opowiada co następuje:

Poranek był mglisty, a nawet dość chłodny; stanęliśmy pod załosem góry Somo-Sierra z naszym trzecim szwadronem pułku szwoleżerów gwardji cesarza, gdyż tego dnia otrzymaliśmy przeznaczenie na służbę przy jego osobie, jako obznajomieni już z tego rodzaju obowiązkami, zwłaszcza, gdyśmy je pełnili przy Napoleonie w czasie pobytu jego w Bajonnie.

Kule hiszpańskie już świsnęły w powietrzu i armaty wciąż grały, ale strzały do nas nie dochodziły, bo nas wyłom góry osłaniał.

Stałem przy wachmistrzu Kielkiewicz, sam będąc także wachmistrem i gawędziliśmy o naszych wypadkach w Hisz-

panji. Jedyną zawadą na drodze do Madrytu był wąwóz Somo-Sierra, który od miejsca, gdzie stały wojska francuskie, ciągnął się w górę przeszło na pół wiorsty.

Napróżno cesarz kusił się o zdobycie tej fatalnej zapory; napróżno nieustraszona piechota francuska pod okiem swego wodza starała się przebić przez wąwóz.

Kto wie nawet, czy jeden dzień spóźniony, w którymby Hiszpanie zdążyli oszańcować to przejście, nie byłby je uczynił niezdobytem na zawsze, ale szczęście chciało, żebyśmy ich wyprzedzili, a przygotowane do obrony deski, koły i wanki, które użyte umiejętnie w wąwozie, stałyby się dla nas murem, leżały bezużyteczne po bokach tegoż pod górą.

Kiedy tak wszelkie usiłowania Francuzów o zdobycie tej fortecy speliły na niczem, Napoleon przyzywa marszałka Berthier i wydaje mu rozkaz, aby dla wzięcia armat, na wzgórze wysłał będący na służbie przy cesarzu szwadron polskich ułanów.

Po raz to pierwszy może, jak Napoleon Napoleonem, a marszałek marszałkiem, ten ostatni ośmielił się zwrócić uwagę cesarza, że to było niepodobnem. Sam mi to później opowiadał marszałek Berthier, kiedym go eskortował z Valadolid do Francji.

Cesarz spojrział na mnie (mówi marszałek), zmierzył mnie swym przenikającym wszystko wzrokiem i odrzekł: „Zostaw to Polakom i rób swoje“.

Wtedy marszałek przybiegł do naszego szwadronu i rzekł: „Cesarz wam powierza zdobycie tej pozycji, pewny że ją weźmiecie, a ja znając waszego ducha, wiem że to będzie dla was drobnostką“.

Oto mi piękna drobnostka, ale rozkaz dany i dosyć na tem. Wnet też Kozietulski, który był niesłuchanie odważnego serca i przepadał za niepodobnemi do prawdy zwycięstwami, wystąpił naprzód jako szef szwadronu i krzyknął: „Formuj się w czwórki“.

Wysuwamy się tedy z załomu góry, gdzieśmy dotąd jak w twierdzy mimo kul hiszpańskich stali. Lecz zaledwie zdążyliśmy się rozwinąć w połowie, gdy grad kartaczy spotyka nasz szwadron. Jako wachmistrz musiałem być z tyłu szwadronu, ale lat 18, a nadewszystko ta jedyna myśl, że cesarz tak blisko, że spogląda na nas i ocenia naszą odwagę, przemożła wszelkie w tym względzie formy, po drugiej więc komendzie Kozietulskiego wysunąłem się naprzód i w miejsce poległych towarzyszków, w pierwszej czwórce stanąłem. Sfor-

mowawszy się na nowo, nowy przypuściliśmy atak samym środkiem wąwozu na górę.

Pędząc jak na osłep, uniosłem tylko pałasz tak, aby zasłonić oczy od postrzału i nic nie widziałem prócz ognia i nic nie słyszałem, prócz huku armat i świstu kulek karabinowych.

Aż do tej chwili miałem zupełnie słabe wyobrażenie o tym gradzie kul, o jakim nieraz, przy ognisku w polu, opowiadali starzy wojacy, ale od wejścia w ten piekielny wąwóz przekonałem się o tem. Nie był to bowiem plac boju, ale rzeczywiście **piekło**. Zdawało się, że ziemia zapadnie się wraz z nami.

Kiedym w połowie drogi rzucił okiem dokoła siebie, nie widziałem nikogo, czułem tylko, że koń mnie unosił i dlatego domyśliłem się, że musiałem współtowarzyszów wyprzedzić. Nie wstrzymywałem go jednak, a nawet w duszy cieszyłem się z tego, gdyż nasi oficerowie zwykli byli z otyłości jego żartować, mówiąc, że karmię go na mięso.

Później dopiero dowiedziałem się, jak świetny ten i pełen sławy dzień dla pułku, był ciężki i bolesny dla naszego bohaterskiego szwadronu. Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu tylko 25; stu zaś po bohatersku poległo i to w jednej szarży.

Co do mnie, otrzymałem ranę w nogę i stopień oficera; koń mój—siedm kul. Moje suknie i wszystkie przybory tak były nabite kulami, jak gwoźdźmi. Z płaszcza, który zwykle zawieszaliśmy na sobie w kształcie chustki, złożonej na krzyż na piersiach i związanej w tyle, nie można było jednej pary rękawic wykroić; a kontrola szwadronu, którą miałem w kaszkiecie, tak była posiekana kulami, że nie można jej było użyć do apelu. Nie była ona też i potrzebną dnia tego, chyba dla przypomnienia o stu braciach naszych.

Mój towarzysz Kiełkiewicz, wachmistrz, należał także do owej małej liczby szczęśliwych, którzy z tego gorącego piekła życie unieśli.

Straciliśmy dużo co prawda, ale niesłuchanie zyskaliśmy na wewnętrznej wartości i gdy pułk nasz po tej rozprawie przeciągał koło starej gwardji Napoleona, patrzącej na nas zawsze z ukosa i nazywającej nas młokosami, wówczas sami wykrzykli do nas: „Niech żyje stara gwardja“, a cesarz przywoławszy do siebie pułkownika naszego, hr. Wincentego Krasieńskiego, oświadczył mu wobec wszystkich, żeśmy godni tej nazwy.

Później znowu, kiedy Napoleon objeżdżał pole bitwy,

widząc tu i owdzie leżących zabitych ułanów naszych, to pod działami, to obok tychże lub na nich, zatrzymał konia i zadumawszy się nieco, zapytał świadków tej sceny, wskazując na trupów: „Nie sąż oni waleczni?“

I nie mylił się zaprawdę; szli oni zawsze naprzód i zawsze ginęli, a ginęli mężnie. Na własne oczy widziałem żołnierza z naszego szwadronu, nazwiskiem Izabelewicza, który dostawszy odłamem granatu w sam brzuch, usiadł na ziemi i prawie konając, z najzimniejszą krwią wysnuwał z siebie wnętrzości.

„Nikt się nie zajął martwych pogrzebem i nikt ranionym nie zwilżył warg“ — jak woła z wyrzutem poeta (*p. Kazimierz Pollack*), z którego pięknego wiersza przytoczymy tutaj stosowny wyjątek:

„Orla potęga im się śmiała —  
szli w bój w daleki świat,  
wielka ich czynów wiodła chwala  
przez długi szereg lat...  
Z Napoleońskich orłów lotem  
sięgali w strefy gwiazd,  
a gdy ginęli — to pokotem  
jak orły — zdala gniazd.  
Wsluchani w pieśń wolności ludów  
szli na tulaćzy głód,  
bo im się w blasku własnych cudów  
śnił wolny własny lud...  
Walczyli jak rycerze święci  
z wzniesioną myślą, wzwyż...  
legli — świat grzebał ich w pamięci,  
ich Sprawie stawiać krzyż!  
.....  
Nad Somo-Sierrą ucichła wrzawa  
i tętent koni i rzegot kull...  
Z pobojojwiska zczezła kurzawa —  
ostał plon śmierci i rannych ból.  
Na obcej ziemi, pod obcym niebem  
tysiące polskich wzniosło się skarg...  
Nikt się nie zajął martwych pogrzebem  
i nikt ranionym nie zwilżył warg...“

\* \* \*

Opowiadanie o świetnym zwycięstwie polskich szwoleżerów w wąwozie Somo-Sierra należy nieodzownie uzupełnić ważniejszymi szczegółami z życia bohaterów, którym Napoleon zawdzięczał jedną z najchlubniejszych kart w księdze swoich wypraw wojennych. Podajemy tu więc przedewszystkiem *życiorys Koziętulskiego*, który, jako szef szwadronu,

w bój poprowadził nieustraszonych szwoleżerów polskich na zdobycie „niezdobytego“ wawozu.

Ród Kozietulskich starodawny i w Rzeczypospolitej zasłużony, pisał się z Kozietuł w Czerskiem położonych, a pieczętował Habdankiem. Nasz bohater, Jan-Leon-Hipolit Kozietulski, urodził się we wsi Skierniewicach, w powiecie warszawskim, w województwie Mazowieckiem, 4 lipca r. 1781, z ojca Antoniego, starosty będzińskiego i Marjanny z Grotowskich, sędziarki rawskiej.

W 25 roku życia wszedł młody Kozietulski jako ochotnik do gwardji honorowej, która pełniła służbę przy Napoleonie. Po krótkiej a stanowczej kampanji r. 1807 przeszedł w stopniu szefa szwadronu do pułku pierwszego lekko-konnych gwardji.

W roku 1808 pułk ten wyruszył do Hiszpanji. Tu pod Somo-Sierra Kozietulski otrzymał mocną kontuzję w lewą nogę, gdy komenderował szwadronem, który pierwszy przebił się przez wawóz liczną piechotą obsadzony i tam zabrał 12-cie armat, broniących przejścia. W tej krótkiej lecz morderczej bitwie utracił większą część szwadronu; czterech oficerów na miejscu zabitych zostało, a dwóch mocno rannych. Sam szef miał konia zabitego i surdut przestrzelony.

Za świetne to zwycięstwo został oficerem Legji honorowej i baronem cesarstwa francuskiego, z dotacją 6,000 franków; a pułk jazdy lekko-konnej odtąd składać zaczął część gwardji cesarstwa francuskiego.

Kozietulski był później w bitwie pod Wagram i miał udział w odniesionem zwycięstwie, które raną opłacił. W r. 1812 dwa razy był ciężko rannym, raz pod Smoleńskiem, drugi raz pod Małym Jarosławcem, gdzie kwaterę główną cofającego się wojska przeciw zwycięskim siłom zastąpić i ocalić walecznością swoją potrafił, za co otrzymał stopień majora pulku gwardji.

Wrócił z Francji z korpusem pod dowództwem *Wincen-tego hr. Krasieńskiego*, a po nowej organizacji wojska polskiego przeznaczony został d. 9 marca 1815 roku na dowódcę 4-go pułku ułanów.

Sterany trudami, podupadły na zdrowiu od poniesionych ran ciężkich, w r. 1820 d. 2 maja przeniesiony „*à la suite*“, umarł w 41 roku życia, d. 3 lutego 1821 r. w Warszawie.

Zwłoki Kozietulskiego (jak opowiada Wójcicki) przy asystencji duchowieństwa świeckiego i zakonnego, zaprowadził w dniu 7 lutego z domu przy ulicy Leszno (dziś pod

nr. 10) do kościoła oo. Kapucynów Arcybiskup warszawski Hołowczyc, prymas Królestwa Polskiego, a za ciałem szedł wielki książę cesarzewicz Konstanty, otoczony gronem generałów i oficerów obu wojsk. Nazajutrz było nabożeństwo za duszę ś. p. Kozietulskiego, po którym miał pogrzebowe kazanie ks. Kotowski. Zakończyło „*Castrum Doloris*“, odprawione przez arcybiskupa i biskupów: Wołowicza, Zambrzyckiego, Ostrowskiego i Koźmiana.

Zwłoki pułkownika Kozietulskiego przeprowadzone do wsi Belska (w pobliżu Grójca na Mazowszu), pochowane zostały na cmentarzu parafjalnym w rodzinnych katakumbach.

\*

\*

\*

Kozietulski był szefem szwadronu bohaterów, aie nie mniej od swego wodza odznaczyli się niesłychanem męstwem w czasie szarży, w wąwozie Somo-Sierra, wszyscy bez wyjątku oficerowie i wszyscy bez wyjątku byli ranni.

Szczególniejszy podziw budził zwłaszcza wpośród nich młodziutki, 19-letni porucznik, Andrzej Niegolewski, który ranny szesnastcie razy, zdobył ostatni szaniec i padł na armaty, gdzie po bitwie sam cesarz przypiął mu do skrważonej piersi własny krzyż Legji honorowej. O Niegolewskim, jednym z największych bohaterów owej niesłychanej szarży, jakiej nigdy przedtem i nigdy potem nie było w dziejach wojen, mówiliśmy już wiele w ciągu całego naszego opowiadania o Somo-Sierze, przytaczając też jego przegody na podstawie własnych wspomnień nieustraszonego wojownika. Niegolewski to właśnie żył najdłużej ze wszystkich oficerów, którzy pod Somo-Sierą walczyli, a w rodzinnym majątku, Niegolewie, w Poznańskim, wystawił pomnik dawnym towarzyszom broni. Drogim mu zawsze był honor wojska polskiego, więc kiedy historyk francuski Thiers, opisując wyprawę hiszpańską Napoleona, nie należycie przedstawił nadzwyczajne zasługi oddziału polskiego, Niegolewski w pięknie i gorąco napisanej obronie ujął się za polskimi szwoleżerami, kreśląc dzieje bohaterskiego ich czynu w pamiętnej szarży. Broszura pułkownika Andrzeja Niegolewskiego p. t.: „Somo-Sierra“ ukazała się w Poznaniu w r. 1854 i wywarła wrażenie głębokie, a po dziś dzień, jako dokument historyczny, stanowi cenną pamiątkę, zwłaszcza że pisał ją i świadek naoczny i bohater krwawej rozprawy, pisał ją sercem, pisał jak było, a nie silił się na fałszywą skromność

tam, gdzie mu francuski historyk chciał wydrzeć jedyne dobro, które mu z pogromu Napoleońskiego zostało.

Obok kilku nazwisk głośnych, znanych i powszechnie pamiętanych bohaterów — zdobywców wawozu Somo Sierra, należałoby w niniejszem wspomnieniu — w sto lat po tej prześlawniej bitwie, w sto lat po onym dniu chwaty polskiej — wyliczyć długi szereg żołnierskich imion naszych walecznych z pod orłów Napoleońskich na pięknej ziemi Hiszpanów i rozpisywać się szeroko o ich żywotach, tak zgoła odmiennych od naszych dzisiejszych, tak dziwnie niepodobnych do życia, jakie w dni bieżące pędzimy — ich praprawnuki.

Ale wystarczy powtórzyć w tem miejscu — za nieocenionym gawędziarzem warszawskim K. W. Wójcickim — jeden tylko *zyciorys żołnierza*, najmniej znanego z bohaterów, Romana Wiktora (pochowanego na Powązkach w Warszawie). Krótki obraz jego życia burzliwego najlepiej scharakteryzuje, jak żyli ci, którzy udział brali w wiekopomnej szarzy szwoleżerów w wawozie Somo-Sierra.

**Wiktor Roman** (urodzony w r. 1786, zmarł 1 lutego 1847), był synem Placyda Romana, szambelana i Amelji z Grotowskich, podczaszanki rzeczyckiej. W 20 roku życia jako ochotnik wszedł do wojska w roku 1806 i zaraz znalazł się przy zdobyciu Stolpen, a przy oblężeniu Gdańska został mocno ranny. W roku 1807 jako prosty żołnierz zamieszczony w tworzącym się wówczas pułku lekko-konnej gwardji i razem z tym pułkiem, podniesionym później przez cesarza Napoleona do godności starej gwardji, poszedł do Hiszpanji.

Na tej pięknej i cudownej ziemi Roman nie zwyczajnie wiódł życie, bo złożone naprzemian z bitew krwawych, utarczek z gerylasami, przeplatane miłostkami pięknych Hiszpanek o ognistym spojrzeniu a ostrym sztylęcie, o namiętne ucuciu a zabójczej truciznie.

Roman podówczas kapral, dowodzący 24 gwardzistami, wysłany został ze swym oddziałem na *ujęcie jednej z grandes hiszpańskich*, o której wiedziano, że się w ustronnym domku ukrywa i stamtąd się z nieprzyjaciółmi cesarza Napoleona znosi. Po 24-godzinnym pochodzie, po większej części po zalanem wybrzeżu morskiem, tak, że konie częściiej płynęły niż szły, Roman przybył do owej willi na odosobnieniu stojącej, a obsadziwszy drzwi i okna, z dwoma towarzyszami wchodzi do pokoju, gdzie znalazł panią domu, młodą i piękną niewiastę, a przy niej mnicha i doktora. Kiedy się dowiedziała, że ma oddać wszelkie papiery, rzuciła ze wzgardą klucze na ziemię, mówiąc, że pieniądze i brylanty, więcej

niż papiery, są celem przybyłych żołdaków. „Podnieś księżę klucze i chodź z nami, abyś poświadczył co zabierzemy“ — odrzekł kapral, a odbywszy rewizję i zabrawszy papiery, wrócił, zawsze w towarzystwie mnicha, do domu dumnej Hiszpanki.

Niebawem nadszedł i doktor błądy i wystraszony, bo w każdych drzwiach, w każdym oknie, któredy chciał się wymknąć, ujrzał wężate i groźne oblicze wojaka i polskie:



Wachmistrz Wiktor Roman.

„kto idzie“, co go śmiertelną nabawiło obawą. Opowiadał więc pięknej Hiszpance o ogromnej armji, otaczającej jego domek i niepodobieństwie jakiegobądź oporu.

Trzeba było teraz, stosując się do wydanego rozkazu, razem z zabranymi papierami i panią domu do głównej kwatery dostawić; ależ kobiety, tak jeszcze pięknej i młodej, nie można było wsadzić na jednego konia z „hułanami“, a tu nie tylko pojazdu, ale najskromniejszego wózka nie było.

Wiedząc teraz o niespodzianej podróży, urodna niewolnica zapomniawszy dumy, z prawdziwie kobiecą słabością

rozpaczać nad swoją dolą zaczęła. W tak ciężkim razie nie-obojętny kapral na łyzy swojej branki, zabezpieczywszy w do-  
brze zamkniętej piwnicy mnicha i doktora, rozestał swój od-  
dział na wyszukanie jakowego pojazdu.

Szczęśliwym trafem, karetą jakiegoś dygnitarza ko-  
ściola z sześcioma mułami dostała się w ręce ułanów, w niej  
więc czarnooka branka w orszaku zbrojnym, dłuższą ale bez-  
pieczniejszą drogą dostała się do głównej kwatery.

Niewiadomo nam—pisze Wójcicki—jaki później zacho-  
dziły stosunki między piękną niewolnicą a młodym i grze-  
cznym kapralem; ani umiemy oznaczyć stopień wdzięczności  
za sześć-mułową karete; to tylko wiemy, że Roman, uda-  
jący się na bitwę pod Burgos, dostał od swej branki na pa-  
miątkę długi splot czarnych włosów, który po wieloletnich  
wędrówkach, starannie owinięty, opatrzony napisem, do Pol-  
ski przybył i jako droga snąc pamiętka z owych czasów, po  
śmierci jego został znaleziony przez spadkobierców.

W dniu 30 listopada 1808 r. stanął pułk Romana pod  
pamiętnym wąwozem Somo-Sierra. Roman, wówczas wach-  
mistrz pierwszego plutonu, pod wodzą dzielnych oficerów  
szedł na czele swojego oddziału. Ale strzały kartaczkowe i rę-  
cznej broni przerzedzają szeregi szwoleżerów, oficerowie idący  
na czele padają i nagle wachmistrz Roman, po zdobyciu kil-  
ku bateryj, został chwilowo najstarszym w całym szarżują-  
cym oddziale i *objął dowództwo*.

Zdobyto wąwóz. Roman padł ostatni, ranny kartaczką  
w biodro i dostawszy w brzuch kulę. Został za to podpo-  
rucznikiem i zapisano mu w liście oficerskiej, przez cesarza  
Napoleona podpisanej, te wyrazy: „Dowodził pierwszym plu-  
tonem szwadronu, który odbył szarżę na Somo-Sierra i dał  
przykład nieustraszonego męstwa, co mu zjednało mój sza-  
cunek“.

Roman pozyskanie stopnia podporucznika i tych kilka  
słów pochwały opłacił ciężką, ledwie nie śmiertelną chorobą,  
po wyjściu z której walczył jeszcze w bitwie pod Znaim, pod  
Wilkomierzem, Połockiem, Smoleńskiem, Możajskiem, pod Po-  
dolskiem, gdzie znowu był rannym lancą w czoło, głowę  
i rękę; pod Jarosławiem i Krasnem, pod Dreznem, Peters-  
waldem, Lipskiem, Freiburgiem, Hanau i Moguncją; w Ho-  
landji pod Oxtraden i Breda, pod Chateau-Brienne dwa razy,  
Saison, Mon-Mirail, Chateau Thierry, Champ-au-Bert, Giné,  
Montereau, Reims, Beri-au-ben, Craon, Laon, Arcis-sur Aube  
i St. Dizier.

Te wspomnienia, gdzie miał udział w krwawych, mor-

derczych bitwach Roman, czytamy w liście stanu służby jego; a ileż to jeszcze czynów dopełnił nie dla nagrody, bo takich rzeczy nie wynagradzano, nie zapisywano rawet, tak były wtedy zwyczajne, — lecz tylko jako traf, urozmaicenie życia.

A jednak dzisiejsze pokolenie nie zechce wierzyć temu i jako bajkę przyjmie, gdy opiszemy za Wójcickim, jak Roman, w chwili po przerwanej bitwie, widząc przyjaciela swego, Brodzkiego, wziętego do niewoli i uprowadzanego przez dwudziestu nieprzyjaciół, sam jeden jak był, rzucił się na nich i odurzonym nagłością napadu, *odbił jeńca*, a trzymając ich w odwodzie pałaszem, wypuścił nogę ze strzemięcia i podając lewą rękę oswobodzonemu, zawołał, aby siadł za nim na konia; lecz ten z pośpiechu zamiast za rękę, schwycił za cugle i tym sposobem odwrócił konia do nieprzyjaciół. Ci umieli z tego wypadku korzystać: żgając raz po raz lancami w ułańską czapkę Romana, przycisnęli mu głowę do łba końskiego i tak go obsaczyli, że już nie mogąc ostrzem, giferem pałasza opędzał się od nich. Na szczęście łuska podpinająca czapkę pękła, a Roman mając swobodną głowę i zobaczywszy, że Brodzki już uszedł, pałaszem się wyrwał z tej



Wiktor Roman w pojedynku z oficerem nieprzyjacielskim.

zgrai, wziąć się nie dał i szczęśliwie powrócił do swoich, jakkolwiek z mocno zranionem czołem, pokaleczoną głową, przebitą ręką i kilku ranami w ciele od lanc nieprzyjacielskich.

W czasie chwilowego zawieszenia broni, dowodząc wyższości lancy nad pałaszem, założył się z czterema oficerami jazdy nieprzyjacielskiej, że on sam jeden uzbrojony tylko lancą z chorągiewką, ich czterech razem uzbrojonych w pałasze, pobije. *Wygrał zakład* i za to z każdym z osobna musiał się pojedynkować, według ówczesnego zwyczaju na pałasze, a wyszedł z tych turniejów z chwałą i zwycięsko.

Towarzysze broni Romana opowiadali, jak wystąpił na rekonesans w kilkadziesiąt koni do niewielkiego, ale mocno obwarowanego miasta, źle strzeżonem przejściem dostał się wewnątrz, a wzięwszy dowódcę załogi w niewolę, sam garnizon, z kilkuset ludzi złożony, rozbroił i zamknął, a wystawszy wiadomość do armji o tem, co się stało, osobiście *w bramach zdobytego przez siebie miasta, cesarza Napoleona przyjmował*. Wiecież, jaką za to otrzymał nagrodę? Oto klepiąc go po ramieniu Napoleon wyrzekł. „Tu cię poznaję, ostatni dowódco szarzy pod Somo-Sierra“.

W r. 1814 Roman w stopniu starszego kapitana starej gwardji z krzyżem Legji honorowej i krzyżem złotym, obdarowany tytułem i donacją na kanale du Loing, wrócił do kraju, gdzie umieszczony w tymże stopniu w szwadronach wzorowych ułanów gwardji (utworzonych właśnie z niedobitków szwoleżerów), przerobionych później na strzelców konnych gwardji, dosłużył się stopnia pułkownika, a w r. 1825 dla słabości zdrowia przeniesiony *w stopniu pułkownika* z mundurem, do biur b. Komisji Rządowej Wojny i ozdobiony w r. 1830 znakiem nieskazitelnej służby oficerskiej, umarł mając lat 61. Pochowany na Powązkach.

Roman należał do tych wojowników naszych, których czyny, gdyby były wiernie i troskliwie spisane, utworzyłyby księgę owych przykładów szalonej odwagi, bohaterskiego męstwa, do scen rzewnych, uczuciowych, w których tak miłość, jak litość i poświęcenie, obok najwykwintniejszej grzeczności dla kobiet, spletały urozmaicony wieniec życia.

Jeżeli Roman miał chwile, w których czuł wyższość swoją i dla drugich jego towarzyszków broni los nie skąpił w owe czasy wypadków, w których równie wykazać mogli i swoją waleczność i stronę wyższych, szlachetniejszych uczuć. Zajął on obok innych naszych wojowników nieposlednią kartę w tej kronice ciągłych bojów, które przez lat tyle podziwem napełniały świat cały.

Szarża pod Somo-Sierrą należy do najśmielszych, jakie przekazała nam historia jazdy. Nabrała uniwersalnego znaczenia, jako czyn wojenny, i jako klasyczny przykład, przytaczana jest do dziś dnia we wszystkich podręcznikach taktyki. Pokryła nieśmiertelną chwałą pułk polskich szwoleżerów. Ze względu na swój skład stanowił pułk ten **wyjątkowe zjawisko w nowoczesnych armjach**. Jego składowe żywoły przypominają raczej szwadrony rycerskie, w których każdy był bojownikiem, świadomym celu, ożywionym pewną ideą, dla której gotów był z radością oddać życie. Młodzież w pułku, przeważnie szlachecka, przyniosła ze sobą wysoce rozwinięte poczucie honoru, a mianowicie — ożywiona była myślą, że pod sztandarem wielkiego wodza pracuje nad wskrzeszeniem ojczyzny.

Te duchowe czynniki ukształtowały przed innymi wojną wartość pułku i uczyniły go zdolnym wznieść się *na wyżyny bohaterstwa*. Z tego punktu widzenia jest świetny atak jazdy polskiej pod Somo-Sierrą nieśmiertelnym przykładem, ile znaczy w sztuce wojennej *duch ożywiający żołnierza*.

Gdy 6 kwietnia 1807 r. w obozie pod Finkensteinem wydał Napoleon dekret o formacji pułku polskiego szwoleżerów gwardji, ruszyła się młodzież ze wszystkich polskich prowincji. Była to przeważnie szlachta i synowie domów magnackich, prawie wyłącznie ludzie wykształceni i ożywieni ideą służenia krajowi. Ten skład pułku spowodował, że w początkach zwłaszcza panowały w nim stosunki zupełnie wyjątkowe. Tak n. p. oficerowie, mówiąc do szeregowców, tytułowali ich „pan“, co było przeciwne zasadom karności. Wyćwiczenie szeregów było początkowo bardzo lichy. Gdy w Bajonnie odbył Napoleon ich przegląd, panował taki zamęt w ewolucjach, że cesarz zawołał zgorzony: „*Ta młodzież nic nie umie!*“

Dopiero marsz ku granicy hiszpańskiej oddziałął korzystnie na sprawność szwoleżerów. Codzienne stosunki ze sławnymi weteranami Napoleońskimi wywarły magiczny urok na młodego żołnierza, który w zadziwiająco krótkim czasie przystoczył się do niepoznania i czekał tylko sposobności, by pokazać, że godnym jest należenia do szeregów wielkiego wodza. I nie minęło wiele czasu, a ta sama młodzież, co „nie umiała nic“ w obozie pod Bajonną, *zasłużyła* u skał Somo-Sierry *na miano „najdzielniejszej jazdy“*, aby w następnym znowu roku pod Wagraam wprawić świat w podziw odwagą i niepowstrzymaną fantazją ataku.

Bohaterski czyn jazdy polskiej pod Somo-Sierą opiewany był nieraz przez naszych i francuskich poetów. Posłużył za temat dla całego szeregu malarzy: odtwarzali go na papierze i na płótnie Horacy Vernet, Hipolit Bellangé, z naszych — wyborne dzieło stworzył January Suchodolski, w czasach najnowszych — Wojciech Kossak.

Niejednokrotnie zajmowali się tą szarzą pisarze wojskowi, oddając hołd heroizmowi i dzielności polskiego żołnierza. Nie brakło przecież i tu opinii zawistnych.

Tym odpowiada w swej pracy strategicznej, poświęconej szarzy pod Somo-Sierą, *Rosjanin, generał Puzyrewski*:

„Małoduszni, sami nieudolni, do poświęceń, w zawistnej swej mierności, gotowi w czynach takich widzieć tylko „wypadek“ — i dający chętnie posłuch anegdotom w rodzaju, że „koń poniósł, — stąd bohaterstwo“, zapominają, że koń unosi tak samo naprzód jak i w tył, i niepodobna przypisać tego „wypadkowi“, że takich panów unosi zawsze w tył, a Kozietulskich zawsze naprzód. Waleczny wojownik, który niejednokrotnie krwią przypieczętował swe ofiarne spełnienie obowiązku, daje nam wzór bohatera kawalerzysty, dla którego w boju niema przeszkód. Żyjąc ideałami swego czasu, walczył przeciw nam, lecz w zakresie męstwa wywoływać musi i nasz także, jako żołnierzy, podziw“.

Tak dosłownie pisał generał rosyjski o polskich bohaterach...

\*  
\*                      \*

Czasy Somo-Sierry miały swoich pieśniarzy, na miejscu bitew — w obozie układających zwrotki piosenek. Dochowały się po dziś dzień **wiersze poetów-legjonistów**.

„Mimo całej ułomności ich formy zewnętrznej — powiedział Adam Mickiewicz — cały naród znajdował w nich upodobanie. Co tych poetów szczególnie odznacza, to prawdziwość, prostota wyrazów... Żołnierze śpiewali ich wiersze, oficerowie czytali je, lud je lubił... Pieśni ich były żałosne i smutne; zachęcają rycerstwo do wierności, do męstwa w boju...“

Do poetów-legjonistów zalicza się Woronicza, Niemcewicza, Godebskiego, Reklewskiego, Goreckiego, Tymowskiego, Andrzeja Brodzkiego i Józefa Wybickiego (twórcę „marzurka Dąbrowskiego“).

Posłuchajmy wiersza o Somo-Sierra, napisanego przed wiekiem jeszcze przez jednego z legjonistów:

Któż przebył wążów Somo, którego bronila  
Potrójna: męstwa, sztuki i natury siła?  
Lud do zwycięstw przywykły, tego zdobyć nie mógł,  
Polakowi przystało: uderzył i przemógł.  
Tu poległ Dziewanowski, waleczny młodzieniec,  
Gdy nadzwyczajnej sławy biegł osiągnąć wieniec.  
Tu z nim jednego hufca naczelnicy śmieli,  
Krzyżanowski, Rudowski, męską krew przeleli.  
Ileż chwały potomność ziomkom swoim przyzna!  
Blaskiem jej z żalem jednak zdoła się ojczyzna,  
Z żalem zgastych rycerzy zaszczyty wspomina...

Wiersze te są wyjątkiem z poematu dłuższego o polskich żołnierzach Napoleońskich w Hiszpanii, a napisał je *Tomasz Tymowski*, urodzony w r. 1790. Młodo bardzo wstąpił do wojska Księstwa Warszawskiego i odbył pod Napoleonem kampanję hiszpańską, a w r. 1812 moskiewską. Po powrocie dostał urząd już w czasie Królestwa kongresowego. Posłował na sejmy przed r. 1831, a po nim opuścił Polskę i zmarł we Francji w r. 1854. Pisał wiele wierszy, ale zbiorowego wydania ich nie było i dlatego mniej jest znany z licznych poetów-legjonistów.

Z pośród nich samych najpiękniej wierszem uczcił zdobytcie Somo-Sierry *Antoni Gorecki*, znany dobrze jako przyjaciel Adama Mickiewicza. Jego to wierszem ozdobimy też naszą książkę, przypominając tu jeszcze parę szczegółów, o samym poecie: Antoni Gorecki urodził się w Wilnie w r. 1787. Po skończeniu uniwersytetu wileńskiego wraz z Joachimem Lelewelem, służył w wojsku Księstwa Warszawskiego pod generałem Zakrzewskim. Około roku 1808 powstawać zaczęły pierwsze jego poezje. Pisał je przeważnie przy robotach fortecznych Modlina, gdzie był wykomenderowany do ich dozoru. W kampanji roku 1812 służył pod Kniaziewiczem i otrzymał krzyż Legji honorowej. W r. 1818 wrócił na Litwę, gdzie gospodarował i tworzył. Poznał się w tym czasie z Mickiewiczem, z którego córką Marją ożenił się już po śmierci Adama, syn jego Tadeusz. Gorecki umarł w Paryżu w r. 1861, został pochowany na cmentarzu Montmorency. Pisał przeważnie bajki, elegie, dумы, satyry.



Poeta A. Gorecki.

Oto wiersz Goreckiego: „Somo Sierra“.

Gdzie wąwóz Somo skałami się jeży,  
Jest ciasne przejście jak na szyk rycerzy.  
Tam dumny Hiszpan siadłszy na gór szczycie,  
Czekał z pioruny na wrogów przybycie.

Z jakim łoskotem w alpejskie nadbrzeża

Wód oceanu potęga uderza,

Tak szli do szturmu Frankowie zuchwali,

Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,

Tak była trudna dla mężnych ta droga;

Próżne wysiłki męstwa i rozpaczy,

Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Zacięte Maury z gór wierzcha szydziły:

Chodźcie tu! chodźcie! dawno was czekamy!

Wam tu Kastylki robią uśmiech miły,

Wam stary Madryt otwiera swe bramy!

Wtenczas bohater, co wiódł nasze męze,

Przybiegł, gdzie polskie lśniły się oręże.

W cichem milczeniu zwarte hufce stały,

Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

„Wy, co z waszemi znajome szeregi

Egiptu piaski, Apeninu śniegi,

Ty ze lwiem sercem młodzieży nietrwożna,

Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można!“

Rzekł—huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,

Przez grad kartaczy las proporców leci,

Grzmi grom po gromie i razem ustały...

Na wierzchu szaniców usiadł Orzeł Biały.

W sto lat po Somo-Sierze, poeci dzisiejsi znowu hołd wierszem oddają polskim bohaterom Napoleonidy. Ale jakżeż inaczej brzmi ich poezja, niżli wiersze legjonistów. Posłuchajmy przesłicznego wiersza, którym uczcił **jubileusz stulecia Somo-Sierry**, znany w szerokich kołach czytelników w Warszawie i w kraju, piosenkarz *El* (p. *Kazimierz Laskowski*). Oto, co pisze o Napoleonie:

„Znał serca wielkich ludów, czuł narodu bicie...

Powiedział! Więc szli za nim na śmierć i na życie!

Szli za nim, jak za gwiazdą nadziei i mocy

Od grobowców Cheopsa po zorze północy!

Szli wszędy, gdzie rozkazał, i kładli swe ciała

Z nadzieją... On szedł dalej... a ziemia grzebała

W żarze pustynnych piasków, w lodowej zawiei  
Wszystko—prócz jego gwiazdy i naszej nadziei!  
On szedł dalej, bóg wojny, w rydwanie bagnetów...  
Aż stanął wobec tamy Pirenejskich grzbietów  
I zdumiał... Po raz pierwszy z wschodu do zachodu  
Zobaczył lud, walczący o wolność narodu!  
I po raz pierwszy w dumnej duszy uczuł trwogę...  
Za wolność! Kto otworzy jego orłom drogę?  
Za wolność! Rykły działa! świat spłynął ołowiem!  
Lecą pułki... sztandary! trup pada pogłowiem!  
Chmura dymów... jęk ludzki... ogień... rżenie koni...  
Orleznaki pobite! Wolność wstępu broni!  
Do ataku! Znow leżą, znow się w połąć kładą...  
On zbladł... Spojrzał po ludach... I ukazał spadają  
Na jeden, co po wszystkich drogach siewał kości  
Za wolność! I pragnieniem uderzył wolności  
W zięjące śmiercią szczyty... Bo odgadł spojrzeniem,  
Że silniejsze niż wolność to, co jej pragnieniem!  
Poszli jak grom... Dwie siły na chwilę się zwały  
O jeden skarb najdroższy—i dwie społem marły.  
A on czekał i patrzył... Aż zabrzmiało z szczytu:  
— *Vive l'empereur! Sire!* wolna droga do Madrytu!  
Usłyszał, spuścił oczy. Z twarzy marmurowej  
Zbiegło: *Braves!!!* I uchylił po raz pierwszy głowy.

Sto lat... O, krwi wylana u stóp Somo-Sierry!  
Żal mi ciebie, żal wielki, beznadziejny, szczerzy!  
Ale, chociażbyś była przez inne przeklęta  
I niezbawiona nigdy, dla mnie jesteś święta,  
Jak ta, co na ołtarzach przemieniona wiara,  
Wszystkie grzechy odpuszcza—bo byłaś... ofiarą!“

(Użyte w tym wierszu wyrazy francuskie znaczą: *Vive l'empereur*, czytaj „wiw lamperer“—niech żyje cesarz; *sire*, czytaj „sir“—najjaśniejszy panie; *braves*, czytaj „braw“—dzielni).



Szanuj własność  
publiczną

# Bohaterom cześć!

(Słowo na zakończenie),

Ze wszystkich wojen, które prowadził Napoleon, zdaniem historii, jedyna wojna z Hiszpanią nie mogła znaleźć usprawiedliwienia w ówczesnych warunkach politycznych, gdyż właśnie Hiszpania była od czasu rewolucji wierną sojuszniczką Francji. To też słuszność i sprawiedliwość była po stronie tego kraju, który bronił się tak zaciekle przeciw potężnemu cesarzowi Francuzów.

Ubolewać należy, że oddziały wojska polskiego musiały wziąć udział właśnie w tej wojnie, lecz cień najłżejszy, ani wstyd najmniejszy nie pada na nie z tego powodu, gdyż idąc z ortami Napoleońskimi, w najlepszej wierze sądzili i mieli prawo sądzić, że walczą za te same ideały, w których imię Hiszpanie opierali się Napoleonowi.

Kiedy jak burza, jak potok wezbrany ku ziejącej ogniem gardzieli wąwozu Somo-Sierra skoczył szwadron polskich szwoleżerów, napewno wszyscy mieli w onej chwili myśl jedną:

„Oto tam, w oddali, stoi ten, który za krew naszą przyrzekł wrócić ojczyznę; który żąda dowodu męstwa; który wątpił, czy jesteśmy godnymi być narodem; który stał się jedyną naszą nadzieją; z którego losami skuliśmy naszą przeszłość!

I oto tam, za sinemi smugami, stoi ziemia nasza rodzona i patrzy zadumana w dal zachodu strwożonem okiem i czeka ziszczenia swych błogostawieństw, czeka dotrzymania danych jej przysiąg—czeka!

Ta myśl gorzała w sercach, ta myśl kurchowozwój zacisnęła kłście rąk około głowni, ta myśl szwadron szwoleżerów przeistoczyła w jedno ciało, zakłęta w jedną duszę!“

To też dla tych bohaterów z Somo-Sierry i dla ducha, który ich ożywił—winniśmy cześć i pamięć niegasnącą!

W setną rocznicę chlubnego ich zwycięstwa wiekopomnego oddajmy bohaterom naszym hołd należny:—mimo, że bronili niesłusznej sprawy obcego najazdu na ziemię hiszpańską, pamięć ich czysta, bo oni tam, na krańcach Europy, mężnie oddawali życie za Polskę ukochaną!



Szanuj własność publiczną





96691

1/2

—son of

1225